

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Antoni Czechow

**HISTORIE ZAKULISOWE
CZYLI
ANEGDOTY TEATRALNE**

Wybór i posłowie
Władysław Zawistowski

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

BUTY

Stroiciel fortepianów Murkin, człowiek o gładko wygolonej żółtej twarzy, zatabaczonym nosie, z watą w uszach, wyszedł ze swego numeru na korytarz i drżącym głosem zawołał:

– Siemion! Numerowy!

Patrząc na jego przerażone oblicze można by przypuszczać, że sufit runął mu na głowę albo że przed chwilą ujrzał w swoim pokoju ducha.

– Zlituj się, Siemion! – krzyknął na widok nadbiegającego posługacza. – Co to ma znaczyć? Jestem człowiek schorowany, reumatyczny, a ty zmuszasz mnie do chodzenia boso! Dlaczego do tej pory nie dałeś mi butów? Gdzie one są?

Siemion wszedł do pokoju Murkina, spojrzął w to miejsce, gdzie zwykł był stawiać wy czyszczone obuwie, i podrapał się w głowę: butów nie było.

– Gdzież one mogły się podziać, do diabła? – mruknął Siemion. – Wczorajem, musowo, czyściłem i tu postawiłem... Hm!... Wczoraj, po prawdzie, byłem pod muchą... Pewnikiem do innego pokoju wstawiłem. Rychtyk tak musi być, Afanasij Jegorycz, do innego pokoju! Butów tu siła, kto by ich tam po pijanemu rozeznał, jak człowiek sam siebie nie poznaje... Musi, wstawiłem do pokoju tej pani, co mieszka obok... do aktorki...

– Masz ci los, teraz przez ciebie muszę iść panią niepokoić! Przez takie głupstwo budzić przyzwoitą kobietę!

Wzdychając i pokaszując Murkin podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju i delikatnie zapukał.

– Kto tam? – rozległ się po chwili kobiecy głos.

– To ja! – zaczął Murkin żalnym głosem, stając w pozie kawalera rozmawiającego ze światową damą. – Najmocniej przepraszam, że ośmielałem się szanowną panią niepokoić, ale jestem człowiek schorowany, reumatyczny... Lekarze, proszę szanownej pani, zalecili mi ciepło trzymać nogi, zwłaszcza że zaraz muszę iść stroić fortepian do generałowej Szewielicyny. Nie mogę jednakże iść do niej boso!...

– O co panu chodzi? Jaki fortepian?

– Nie fortepian, szanowna pani, chodzi o buty! Ten gamoń Siemion oczyścił moje buty i przez pomyłkę wstawił do pani pokoju. Niech szanowna pani będzie łaskawa oddać mi moje buty!

Dał się słyszeć szmer, skok z łóżka, człapanie pantofli, po czym drzwi lekko się uchyliły i pulchna rączka kobieca rzuciła pod nogi Murkina parę kamaszy. Stroiciel podziękował i wrócił do swego pokoju.

– Dziwne... – mruknął wciągając but. – Całkiem jakby nie z prawej nogi! Ależ tu są dwa lewe buty! Oba z lewej nogi! Słuchaj no, Siemion, przecież to nie moje buty! Moje są z czerwonymi uszkami i bez łąt, a te jakieś podarte, uszy poobrywane!

Siemion wziął do ręki buty, obejrzał je ze wszystkich stron i zasepił się.

– To są buty Pawła Aleksandrycza... – mruknął patrząc w bok.

Siemion zezował na lewe oko.

– Jakiego Pawła Aleksandrycza?

– Aktora... przychodzi tu co wtorek... Pewnikiem włożył pańskie zamiast swoich... Musi postawiłem w jej pokoje obie pary: jego i pańskie. A to ci heca!

– To idź i zamień!

– Dobre sobie! – uśmiechnął się Siemion. – Idź i zamień... A skąd ja go teraz wezmę? Już będzie godzina, jak wyszedł... Szukaj wiatru w polu!

– A gdzie on mieszka?

– A kto go tam wie! Przychodzi tu co wtorek, a gdzie mieszka – nie wiadomo. Przyjdzie, przenocuje i czekaj do następnego wtorku...

– No widzisz, jucho, coś ty narobił? Co ja teraz pocznę! Powinienem już iść do generałowej Szewielicy, gamoni! Nogi mi zmarzły!

– Zamienić buty nie trudno. Musi pan wdziać te kamasze, pochodzić w nich do wieczora, a wieczorem do teatru... Tam zapyta pan o aktora Blistanowa... A jak pan nie pójdzie do teatru, to trzeba czekać do następnego wtorku. On tu tylko we wtorki przychodzi...

– Ale dlaczego tu są dwa lewe? – spytał stroiciel, z niechęcią zabierając się do wkładania butów.

– Jakże Bóg dał, takie nosi. Z biedy... Skąd aktor ma brać?... „Ależ pan ma buty, powiadam, Pawle Aleksandryczu! Wstyd po prostu!” A on powiada: „Zamilcz – powiada – i zblednij! W tych oto butach, powiada, grałem hrabiów i książąt!” Paradny człowiek! Jednym słowem – artysta. Gdybym był gubernatorem albo jakimś naczelnikiem, zebrałbym wszystkich tych aktorów – i do więzienia.

Stęskając i krzywiąc się niemiłosiernie, Murkin wciągnął na nogi dwa lewe buty i utykając ruszył do generałowej Szewielicy. Cały dzień chodził po mieście, stroił fortepiany i przez cały dzień zdawało mu się, że wszyscy patrzą na jego nogi i widzą połataną buty z wykrzywionymi obcasami! Oprócz mąk moralnych przyszło mu jeszcze doświadczać cierpień fizycznych: mianowicie natarł sobie nagniotek.

Wieczorem znalazł się w teatrze. Grano *Sinobrodego*. Dopiero przed ostatnim aktem, a i to dzięki protekcji znajomego flecisty, wpuszczono go za kulisy. Kiedy wszedł do męskiej garderoby, zastał tam całą męską obsadę. Jedni się przebierali, inni charakteryzowali, jeszcze inni palili papierosy. Sinobrody rozmawiał z królem Bobeszem i pokazywał mu rewolwer.

– Kup! – mówił Sinobrody. – W Kursku dałem za niego okazyjnie osiem, a tobie odstąpię za sześć... Znakomicie bije!

– Ostrożnie... Przecież jest nabity!

– Czy mógłbym się widzieć z panem Blistanowem? – zapytał stroiciel.

– Jestem! – odwrócił się do niego Sinobrody. – Czego pan sobie życzy?

– Najmocniej przepraszam, że ośmielałem się szanownego pana niepokoić – zaczął stroiciel błagalnym głosem – ale, niech mi pan wierzy, jestem człowiek schorowany, reumatyczny. Lekarze kazali mi ciepło trzymać nogi...

– A więc, czego właściwie pan sobie życzy?

– Widzi pan... – ciągnął stroiciel zwracając się do Sinobrodego. – Tego... dzisiejszej nocy raczył pan być w pokojach umeblowanych kupca Buchtiejewa... w pokoju numer 64...

– No i co za cel tak zmyślać! – parsknął śmiechem król Bobesz. – W pokoju 64 mieszka moja żona!

– Żona? Bardzo mi przyjemnie... – uśmiechnął się Murkin. – A więc pańska czcigodna małżonka właśnie wydała mi buty tego pana... Kiedy ten pan – stroiciel wskazał na Blistanowa – wyszedł od tej pani, zacząłem rozglądać się za moimi butami... wołam, uważa pan, numerowego, a numerowy powiada mi: „Ja, proszę pana, postawiłem pańskie buty w sąsiednim pokoju!” Przez pomyłkę, będąc w stanie nietrzeźwym, wstawił moje buty i pańskie buty do pokoju 64 – zwrócił się Murkin do Blistanowa – a pan, wychodząc od żony tego pana, włożył moje.

– Co też pan? – bąknął Blistanow i zmarszczył brwi. – Przyszedł pan tu intrygi robić czy co?

– Ależ nie! Broń Boże! Pan mnie źle zrozumiał... Chodzi mi tylko o buty! Pan przecież był łaskaw nocować w pokoju numer 64.

– Kiedy?

– Dziś w nocy.

– A czy pan mnie tam widział?

– Nie, nie widziałem – odparł mocno zmieszany Murkin siadając i szybko zdejmując buty.

– Nie widziałem, ale małżonka tego tu pana wydała mi te tu pańskie buty... To znaczy, zamiast moich.

– A więc jakie pan ma prawo, łaskawy panie, twierdzić coś podobnego? Nie mówię już o sobie, ale pan obraża kobietę, i to jeszcze w obecności jej męża!

Za kulisami powstało straszliwe zamieszanie. Król Bobesz, obrażony mąż, zrobił się nagle purpurowy i z całej siły rąbnął pięścią w stół tak, że w sąsiedniej garderobie dwie aktorki zemdlały.

– I ty w to wierzysz? – wołał Sinobrody. – Wierzysz temu łajdakowi? O–o! Chcesz, to zabiję go jak psa! Chcesz? Befszyk z niego zrobię! Na proch go zetrę!

I wszyscy, którzy tego wieczoru przechadzali się w miejskim parku koło Letniego Teatru, opowiadają teraz, że widzieli, jak przed czwartym aktem główną aleją od strony teatru uciekał bosy człowiek o żółtej twarzy, z przerażeniem w oczach. Gonił go człowiek w stroju Sinobrodego z rewolwerem w ręku. Co się dalej stało – nikt nie widział.

Wiadomo tylko, że Murkin, po zawarciu znajomości z Blistanowem, dwa tygodnie leżał chory i do słów: „jestem człowiek schorowany, reumatyczny”, zaczął dodawać: „byłem ranny”...

Przełożyli Janina i Jan Brzechwowie

TRAGIK

Odbywał się benefis¹ tragika Fienogienowa. Wystawiano *Księcia Srebrnego*². Benefisant grał księcia Wiaziemskiego, impresario Limonadow – bojarzyna Morozowa, pani Beobachtowa – Helenę... Przedstawienie przeszło wszelkie oczekiwania. Tragik dokazywał wprost cudów. Porywał Helenę jedną ręką i trzymając ją nad głową przenosił przez scenę. Krzyczał, syczał, tupał, rozdzierał kaftan na piersi. Odmawiając pojedynku Morozowowi, trząsł się na całym ciele tak, jak w rzeczywistości nikt się nigdy nie trzęsie, i dusił się chrapliwie. Teatr dygotał od oklasków. Aktorów wywoływano bez końca. Tragikowi ofiarowano srebrną papierośnicę i wieniec z długimi wstęgami. Panie powiewały chusteczkami, zmuszały panów do bicia oklasków... Wiele osób płakało. Najbardziej jednak przejęta i zachwycona grą artystów była Masza Sidorecka, córka miejscowego sprawnika. Siedziała w pierwszym rzędzie krzeseł razem z ojcem, nawet podczas antraktów nie mogła oderwać oczu od sceny, była pogrążona w głębokiej ekstazie. Jej szczupłe ręce i nogi drżały, oczy były pełne łez, twarzyczka stawała się coraz bledsza. Nic dziwnego! Masza była w teatrze po raz pierwszy w życiu!

– Jakże to pięknie! Jak oni cudownie grają! – zwracała się do ojca po każdym akcie, gdy zapadała kurtyna. – Jakże wspaniały jest ten Fienogienow!

I gdyby ojciec umiał czytać w twarzach ludzkich, wyczytałby w bladej twarzyczce swej córki zachwyt graniczący z cierpieniem. Masza cierpiała – i z powodu gry aktorów, i samej sztuki, i całej atmosfery teatralnej. Kiedy w antrakcie orkiestra wojskowa zaczynała grać, Masza w zupełnym wyczerpaniu zamykała oczy.

– Tatusiu! – zwróciła się do ojca podczas ostatniej przerwy. – Idź za kulisy i zaprosz ich wszystkich do nas na jutrzejszy obiad.

Sprawnik udał się za scenę, pochwalił aktorów za znakomitą grę, powiedział pani Beobachtowej komplement.

– Przepiękna twarz pani aż się prosi, by przenieść ją na płótno. O, czemuż nie władam pędzlem!

Po czym, stuknąwszy obcasami, zaprosił aktorów na obiad.

– Przychodźcie wszyscy – szepnął – z wyjątkiem płci pięknej. Aktorek nie trzeba, bo mam dorosłą córkę.

Nazajutrz odbył się u sprawnika obiad, w którym wzięli udział tylko impresario Limonadow, tragik Fienogienow i komik Wodołazow; reszta nie przyszła tłumacząc się brakiem czasu. Obiad był nudny. Limonadow przez cały czas zapewniał sprawnika, że go poważa i że w ogóle szanuje wszelką władzę. Wodołazow odgrywał pijanych kupców i Ormian, Fienogienow zaś – wysoki, zażywny Ukrainiec (w paszporcie był zapisany jako Knysz), o czarnych oczach i zachmurzonym czole, wydeklamował „Przed podjazdem pałacu” i „Być albo nie być”. Limonadow ze łzami w oczach opowiedział o swym spotkaniu z generałem Kaniuczy-

¹ *Benefis* (z fr.) - przedstawienie teatralne, zazwyczaj jubileuszowe, z którego część dochodu przeznaczano się dla jubilata.

² *Książę Srebrny* - przeróbka sceniczna popularnej niegdyś powieści historycznej z czasów Iwana Groźnego, pióra A. K. Tolstoja (1817-1875).

nem, byłym gubernatorem. Sprawnik słuchał, nudził się i uśmiechał dobrotliwie. Mimo iż Limonadowa czuć było spalonym pierzem, Fienogienow zaś miał na sobie pożyczony frak i wykoślawione trzewiki, sprawnik był zadowolony, goście bowiem podobali się córce, bawili ją – i to mu wystarczyło. A co do Maszy – wpatrzona była w aktorów jak w tęczę, nie spuszczała z nich oczu. Nigdy dotychczas nie widziała takich mądrych i niezwykłych ludzi!

Wieczorem sprawnik poszedł z córką znowu do teatru. Po tygodniu aktorzy znowu byli na obiedzie u pana naczelnika i odtąd prawie co dzień bywali w jego domu – to na obiedzie, to na kolacji, Maszę zaś coraz mocniej pociągał teatr, zaczęła więc zaglądać tam co wieczór.

Zakochała się w tragiku. Pewnego pięknego poranka, kiedy sprawnik wyjechał na spotkanie archidiecej, uciekła z trupą Limonadowa i gdzieś po drodze wzięła ślub z ukochanym. Po weselu aktorzy wspólnymi siłami ułożyli długi i rzewny list do sprawnika.

– Podaj mu pobudki, rozumiesz – pobudki! – mówił Limonadow dyktując Wodołazowowi. – Szacunkiem mu podkadź! Te kacyki to lubią. Nadmien coś takiego, żeby to z łezką... Żeby się roztkliwił...

List wysłano. Odpowiedź nadeszła zgoła niepokojąca. Sprawnik wyrzekł się córki, która – jak pisał – „wyszła za durnego szlifobruka, chochoła³ bez określonego zajęcia”.

Nazajutrz po otrzymaniu tej odpowiedzi Masza pisała do ojca:

„Tatusiu, on mnie bije! Przebacz nam!”

Bił ją rzeczywiście, bił za kulisami w obecności Limonadowa, praczki i dwóch lampiarzy. Pamiętał bowiem, jak to cztery dni przed ślubem siedział wieczorem z całą trupą w jadalni „Londyn”... Wszyscy mówili o Maszy; aktorzy radzili mu „zaryzykować”, Limonadow zaś przekładał ze łzami w oczach:

– Głupio i bez sensu byłoby pominąć taką okazję! Dla takich pieniędzy człowiek gotów się nie tylko ożenić, ale nawet na Sybir iść! Ożeń się! Założysz własny teatr, weźmiesz mnie do swojej trupy. Nie ja będę wtedy panem i władcą, ale ty.

Fienogienow pamiętał to – i zaciskając pięści mamrotał teraz:

– Jeśli nie przyśle pieniędzy, zbiję ją na kwaśne jabłko. Nie pozwolę się wystrychnąć na dudka, do wszystkich diabłów!

Z któregoś tam miasta gubernialnego trupa chciała wyjechać po kryjomu przed Maszą, ona jednak dowiedziała się o tym i przybiegła na dworzec po drugim dzwonku, kiedy aktorzy siedzieli już w wagonie.

– Ojciec pani znieważył mnie! – powiedział jej tragic. – Między nami wszystko skończone!

Ona zaś, pomimo iż w wagonie było pełno ludzi – ugięła swe nożęta, ukłękła i wyciągnęła błagalnie ręce.

– Kocham cię! – zebrała. – Nie odpędzaj mnie, Konradzie! Żyć bez ciebie nie mogę!

Wysłuchano jej prośb i po radzie przyjęto ją do trupy w charakterze „krowięty” – tak się nazywają w świecie teatralnym drugorzędne aktorki, biorące zazwyczaj udział w scenach zbiorowych i grające nieme role statystek... Początkowo Masza grywała pokojówki i paziów: potem, kiedy pani Beobachtowa – kwiat i ozdoba trupy Limonadowa – uciekła, Masza stała się *ingénue*⁴. Grała źle: sepleniała, miała tremę. Ale stopniowo wdrożyła się i zaczęła podobać publiczności. Lecz Fienogienow nie był z niej zadowolony.

– Alboż to aktorka? – mówił. – Ani figury, ani manier... Jedno wielkie nieporozumienie...

W pewnym mieście gubernialnym trupa Limonadowa wystawiała *Zbójców* Schillera. Fienogienow grał Franciszka, Masza – Amalię. Tragic wrzeszczał i trząsł się, Masza recytowała

³ *Chochol* - pogardliwie żartobliwe przezwisko nadawane przez Wielkorusów Ukraińcom.

⁴ *Ingénue* (fr.) - aktorka grająca rolę tzw. „naiwnej”.

swą rolę jak wykutą lekcję i sztuka uszłaby, jak to w ogóle bywa ze sztukami, gdyby się nie wydarzył przykry skandalik. Wszystko się rozwijało pomyślnie aż do owej chwili, kiedy to Franciszek wyznaje miłość Amalii, ona zaś chwyta jego szpadę. Ukrainiec wykrzyczał i wyszczał, co trzeba, zatrzęsł się i porwał w swe żelazne objęcia Maszę, która – zamiast go odepchnąć i zawołać: „Precz!” – zadrżała jak ptak w jego ramionach, znieruchomiła, zamarła...

– Zlituj się nade mną! – szepnęła mu do ucha. – Ach, zlituj się! Taka jestem nieszczęśliwa!

– Nie umiesz roli! Słuchaj suflera! – zasyczał tragicznie, wpychając jej do ręki szpadę.

Po przedstawieniu Limonadow i Fienogienow siedząc w kasie prowadzili rozmowę.

– Masz rację... twoja żona nie uczy się roli – mówił impresario. – Nie rozumie swych czynności... Każdy człowiek ma swoją czynność... A ona właśnie tego nie rozumie...

Fienogienow słuchał, wzdychał i posepniał, posepniał.

Nazajutrz z rana Masza siedziała w nędznym sklepiku i pisała:

„Tatusiu, on mnie bije! Przebacz nam! Przyślij trochę pieniędzy!”

Przełożył Jerzy Wyszomirski

KOMIK

Komik Iwan Akimowicz Worobiow–Sokołow wsunął ręce w kieszenie szerokich spodni, odwrócił się i wlepił leniwe oczy w okno z naprzeciwka. Pięć minut upłynęło w milczeniu...

– Nu–udno – ziewnęła pierwsza naiwna, Maria Andriejewna. – Czego pan ciągle milczy, Iwan Akimycz? Skoro pan już przyszedł i przeszkadza mi się uczyć roli, to proszę przynajmniej rozmawiać. Nieznośny z pana człowiek, doprawdy...

– Hm... zbieram się wciąż powiedzieć pani jedną rzecz, ale jakoś mi nie bardzo... Jak powiem prosto z mostu, bez delikatnych omówień... po chamsku, to mnie pani, naturalnie, zgromi, wyśmieje... Nie, lepiej nic nie powiem! Wolę trzymać język za zębami.

„Co on mi chce powiedzieć? – zastanawiała się pierwsza naiwna. – Podniecony i patrzy jakoś dziwnie, przestępuje z nogi na nogę... Czy aby nie ma zamiaru oświadczyć się? Hm... prawdziwe utrapienie z tymi gałganami! Wczoraj oświadczył się pierwszy skrzypek, dzisiaj przez całą próbę rezoner⁵ wzdychał i wzdychał... Powściekali się wszyscy z nudów!”

Komik odwrócił się od okna, podszedł do komódki i zaczął oglądać nożyczki i słoik ze szminką.

– No, tak... chce mi się, a boję się powiedzieć... Jakoś nie tego... Jak powiem po prostu, po rosyjsku, to pani zaraz: gbur, cham! A to, a sio... znamy was... Lepiej przemilczę...

„A co mu powiedzieć, jeżeli rzeczywiście się oświadczy? – myślała w dalszym ciągu pierwsza naiwna. – Prawdę mówiąc, człowiek dobry, sympatyczny, utalentowany, ale... nie podoba mi się i basta! Straszny brzydał... Zgarbiony, pryszcze na twarzy... głos schrypnięty... i w dodatku – te jego maniery... Nie, nigdy w życiu!”

Komik milcząc przeszedł się po pokoju, ciężko opadł w fotelu i z hałasem pociągnął ku sobie ze stołu gazetę. Oczy jego biegały po gazecie, jak gdyby czegoś szukając, wreszcie utknęły na jakiejś jednej literze i osowiały.

– Boże... Bodajby tu muchy były! – mruknął. – Zawsze to weselej...

„Zresztą, oczy ma niebrzydkie – myślała Maria Andriejewna. – Ale co w nim najbardziej cenię, to charakter. Cóż, nie tyle uroda jest ważna u mężczyzn, co dusza, umysł... Za mąż za niego, prawdę mówiąc, wydać się można. Ale żeby żyć z nim tak, na wiare... nigdy w życiu! Patrzcie, jak na mnie popatrzal... aż parzy! I czego on taki nieśmiały – nie pojmuję!”

Komik westchnął głęboko, potem chrząknął. Widać, że ogromnie mu ciążyło dłużące się milczenie. Poczzerwieniał jak rak, wykrzywił usta.... Na twarzy odmalowało się cierpienie...

„Prawdę mówiąc, z nim to i tak żyć można – nie przestawała medytować pierwsza naiwna. – Gażę ma dobrą... W każdym razie lepiej z nim niż z jakimś golcem–kapitanem. Słowo daję, powiem mu, że zgadzam się! Czy godzi się krzywdzić człowieka odmową? I tak ma niesłodkie życie!”

– Nie! Nie mogę! – wykrztusił komik podnosząc się z fotela i odrzucając gazetę. – To moja przeklęta natura! Nie potrafię się przezwyciężyć! Bij, wymyślaj, a ja powiem swoje, Mario Andriejewno.

– Mów pan, mówże, dosyć tego dziwaczenia!

⁵ *Rezonner* (fr. *raisonneur*) - postać w sztuce scenicznej wygłaszająca (zaza. autorskie) opinie na temat postaci i akcji sztuki, ukazująca jej morał.

- Dobrodziejko, ptaszyno moja, daruj wielkodusznie, do nóżek padam, łapki całuję...
W oczach komika zakreśliły się łzy wielkości grochu.
- Mówże pan... wstrętny człowieku! No, co?
- Czy nie znajdzie się u pani, ptaszyno moja... no, kieliszczyk wódki? Płonę! Takie mam po wczorajszej popijawie kwasy w ustach, takie niedokwasy i nadkwasy, że żaden chemik się nie połapie! Czy da pani wiarę? Wszystko się we mnie skręca! Życ już nie mogę!
- Pierwsza naiwna zarumieniła się, zmarszczyła brwi, ale opamiętawszy się szybko, dała komikowi kieliszek wódki... A on wypił, odżył i zaczął opowiadać anegdoty.

Przełożył Aleksander Wat

TAPER

Jest około drugiej w nocy. Siedzę w pokoju hotelowym i piszę zamówiony felieton wierszem. Nagle drzwi się otwierają i do pokoju, całkiem niespodziewanie, wchodzi mój współlokator, były uczeń konserwatorium w M., Piotr Rublow. W cylindrze, w rozpiętym futrze, przypomina mi w pierwszej chwili Repietilowa⁶; potem jednak, kiedy przyglądam się jego bladej twarzy o niezwykle błyszczących, jakby rozgorączkowanych oczach, podobieństwo to znika.

– Dlaczego tak wcześnie wróciłeś? – pytam. – Przecież jeszcze nie ma drugiej! Czyżby wesele już się skończyło?

Współlokator nie odpowiada. W milczeniu wchodzi za przepierzenie, szybko zdejmuje ubranie i sapiąc kładzie się do łóżka.

– Śpijże, bydlaku! – słyszę po dziesięciu minutach jego szept. – Położyłeś się, to śpij! A jak nie chcesz spać, to... niech cię wszyscy diabli!

– Nie możesz spać, Pietia? – pytam.

– Tak, do licha... jakoś nie mogę... Śmiać mi się chce... I dlatego nie mogę zasnąć! Cha, cha!

– A cóż cię tak śmieszy?

– Przytrafiła mi się śmieszna historia. Licho nadało tę przekłętą historię!

Rublow wychodzi zza przepierzenia i zaśmiewając się siada obok mnie.

– Śmieszne i... upokarzające... – mówi mierzwiąc włosy. – Jak żyję, bracie, jeszcze mi się nic podobnego nie zdarzyło... Cha, cha... Skandal – i to jaki skandal! W skali wielkoświatowej!

Rublow wali się pięścią w kolano, zrywa się z krzesła i zaczyna chodzić boso po zimnej podłodze.

– Wyrzucili mnie na zbity łeb! – powiada. – Dlatego tak wcześnie wróciłem.

– Daj spokój, nie kłam!

– Jak Boga kocham... Na zbity łeb mnie wyrzucili – dosłownie!

Spoglądam na Rublowa... Twarz ma przepitą i zniszczoną, ale cała jego powierzchowność zachowała jeszcze tyle szlachetności, pańskiej delikatności i dobrego ułożenia, że owo brutalne „wyrzucili mnie na zbity łeb” zupełnie nie pasuje do jego inteligenckiej postaci.

– Kapitalny skandal... Wracałem do domu i przez całą drogę pękałem ze śmiechu. Ach, przestań pisać te swoje brednie! Wygadaj się, wygarnę wszystko, co mam na sercu, może nie będzie mnie już tak... śmieszno!... Przestań! Ciekawa historia... Słuchaj... Na Arbacie mieszka niejaki Priswistow, dymisjonowany podpułkownik, ożeniony z naturalną córką hrabiego von Kracha... Zatem arystokrata... Wydaje córkę za syna kupca Eskimosowa... Ów Eskimosow to parweniusz i mauvais genre, świnią w jarmulce i mauvais ton, ale tatusiowi i córce chce się manger i boir⁷, a zatem nie ma tu co rozprawiać o mauvais genre`ach. Dziś około

⁶ *Riepietilow* - postać z *Mądremu biada* Gribojedowa.

⁷ *Manger, boir* (fr.) - jeść, pić.

dziewiątej idę do Prisztowa grać do tańca. Na ulicy błocko, deszcz, mgła... stan ducha jak zwykle obrzydliwy.

– Streszczaj się – powiadam do Rublowa. – Bez psychologii...

– Dobrze... Przychodzę do Prisztowa... Państwo młodzi oraz goście po ceremonii zaślubin raczą się owocami. W oczekiwaniu na rozpoczęcie tańców idę na swój posterunek – do fortepianu – i siadam.

„A, a... jest pan! – zobaczył mnie gospodarz. – Niech pan tylko, łaskawco, uważa: grać jak należy, a co najważniejsza – nie upić się...”

Ja, bracie, przywykłem do takich powitań, nie obrażam się... Cha, cha... Podajesz się za borowika, to włącz do koszyka... Czy nie tak? Któż ja jestem? Grajek, ktoś ze służby... lokaj umiejący grać! W kupieckich domach tykają mnie, dają na piwo i... wcale się nie obrażam! A więc przed tańcami, z nudów, zaczynam leciutko brzdąkać w klawisze, tak, wiesz, żeby się palce ruszały. Gram i po chwili słyszę, bracie, że za moimi plecami ktoś nuci. Oglądam się – panna! Stoi, bestia, za mną i czule patrzy na klawiaturę. „Nie wiedziałem, mademoiselle, że mnie ktoś słucha!” – powiadam. A ona wzdycha i mówi: „Ładna rzecz!” „Owszem – powiadam – ładna... A czy pani lubi muzykę?” I wywiązał się dyskurs... Panna okazała się rozmowna. Za język jej nie ciągnąłem, sama się rozgadała. „Jaka szkoda – powiada – że dzisiejsza młodzież nie zajmuje się poważną muzyką”. Ja, dureń, osioł skończony, cieszę się, że ktoś zwrócił na mnie uwagę... zostały jeszcze resztki tej nikczemnej miłości własnej!... Przybieram, uważasz, taką niby pozę i tłumaczę jej, że indyferentyzm młodzieży wypływa z braku zamiłowań estetycznych w naszym społeczeństwie... Rozfilozofowałem się!

– Ale na czym polega skandal? – pytam Rublowa. – Zadurzyłeś się czy co?

– Też wymyślił! Miłość to skandal natury osobistej, a tu, bracie, wynikło coś ogólnego, wielkoświatowego... tak! Gawędzę sobie z panną i naraz zaczynam spostrzegać, że coś jest nie w porządku: za moimi plecami siedzą jakieś postaci i szepczą... Słyszę słowo „taper”, chichoty... A więc mówią o mnie... Cóż u licha? Może mi się krawatka rozwiązała? Sprawdzam krawatkę – w porządku... Oczywiście, nie przejmuję się tym i kontynuuję rozmowę... A panna rozogniona, dyskutuje, cała w pąsach... Gada jak najęta! Z taką krytyką na kompozytorów wyjechała, że moje uszanowanie! W *Demonie* orkiestracja dobra, ale brak melodii, Rimskij-Korsakow bębniarz, Warłamow nie potrafił stworzyć nic wykończonego i tak dalej. Dzisiejsi panicze i panny ledwie gamy grać potrafią, po ćwierć rubla za lekcję płacą, a już by recenzje muzyczne pisali... Tak samo moja panna... Słucham i nie sprzeciwiam się... Lubię, gdy młode, zielone, pnie się i mózgownicą rusza... A tymczasem za plecami wciąż ktoś mruczy i mruczy... I cóż? Nagle ku mojej panie przypląta gruba pawica z gatunku mamuś czy też ciotuń, postawna, purpurowa, pięciu jej w pasie nie obejmie... na mnie nie patrzy, tylko coś szepcze panie do ucha... Słuchaj dalej... Panna pokraśniała, złapała się za głowę i jak oparzona odskoczyła od fortepianu... Cóż u licha? Zgadnij tu, mądry Edypie! No, myślę sobie, z pewnością frak pękł mi na plecach albo dziewczuszcze jakiś defekt w stroju się przydarzył, trudno inaczej zrozumieć ten kazus. Na wszelki wypadek po jakichś dziesięciu minutach wychodzę do przedpokoju, żeby się dokładnie obejrzeć... oglądam krawatkę, frak, tralala... wszystko w porządku, nic nie pękło. Na szczęście, bracie, w przedpokoju stała jakaś staruszka z węzełkiem. Wszystko się wyjaśniło... Gdyby nie ona, trwałbym dotychczas w stanie szczęśliwej niewiedzy. „Nasza panienska nie daruje, żeby swojego charakteru nie pokazać – opowiadała jakiemuś lokajowi. – Zobaczyła przy fortepianie kawalera i nuże przekomarzać się z nim jak z jakim prawdziwym, chichy-śmichy, a ten kawaler, jak się okazuje, to nie żaden gość, tylko grajek... muzykus... Ale sobie pogadała! Dobrze, że ją Maria Stiepanowna ostrzegła, bo inaczej, to by jeszcze, nie daj Boże, pod rączkę się z nim przeszła... Teraz się wstydzi, ale już za późno: słów nie cofniesz”. No i cóż ty na to?

– Dziewczyna głupia – powiadam do Rublowa – i starucha głupia. Nie warto się przejmować...

– Toteż wcale się nie przejąłem... Rozśmieszyło mnie to tylko i nic więcej. Przywykłem już do takich niespodzianek... Dawniej to bolało, a teraz – gwiżdżę! Dziewczyna głupia, młoda, nie ma jej co żałować! Siadam więc i zaczynam grać do tańca... Nic tam poważnego nie trzeba... Odbębniam sobie walce, kadryle–monstres i huczne marsze... A jeśli twojej muzykalnej duszy zbiera się na mdłości, to wypij kieliszek, a będzie ci wesoło.

– Ale gdzie tu właściwie skandal?

– Bębnię w klawisze i... nie myślę o pannie... Śmieję się i tyle, ale... pod sercem coś mnie gniecie! Jakby mi w dołku mysz siedziała i wojskowe suchary gryzła... Sam nie rozumiem, dlaczego mi tak smutno i obrzydliwie... Tłumaczę sobie, strofuję się, śmieję... podśpiewuję w takt muzyki, ale w duszy coś mnie gniecie, i to gniecie w sposób osobliwy... Zaświdruje, skubnie, ukąsi i nagle podejdzie do gardła... jakby jakiś kłab... Zacisnę zęby, przeczekam i odejdzie, a potem znów od początku... Cóż to za udręka! A w głowie, jak na złość, same najbrzydliwsze myśli... Uświadamiam sobie, jaka to ze mnie marnota wyrosła... Dwa tysiące wiorst jechałem do Moskwy, żeby zostać kompozytorem i pianistą, a wyszedłem na grajka... W gruncie rzeczy jest to całkiem naturalne... nawet zabawne, a mnie wstręt ogarnia... Wspomniałem także ciebie... Siedzi teraz, myślę, mój współlokator i skrobie... Opisuje, biedaczysko, zaspanych radnych, karaluchy w piekarni, jesienną szarugę... opisuje właśnie to, co od dawien dawna zostało już opisane, przeżute i przetrawione... Tak sobie myślę i nie wiem czemu tak mi ciebie żal... że na płacz się zbiera! Porządny z ciebie chłop, z sercem, ale brak ci tego, wiesz, ognia, żółci, siły... brak pasji i Bóg raczy wiedzieć dlaczego nie jesteś aptekarzem albo szewcem, tylko pisarzem! Stanęli mi w pamięci wszyscy moi koledzy pechowcy, wszyscy ci śpiewacy, malarze, miłośnicy sztuki... Wszystko to niegdyś wrzało, roilo się, bujało w obłokach, a teraz... psiakrew! Nie rozumiem, dlaczego takie właśnie myśli pchały mi się do głowy! Wypędzam z głowy siebie, pchają się koledzy, wypędzam kolegów, pcha się dziewczyna... Drwię sobie z dziewczyny, złamanego szeląga moim zdaniem nie warta, a jednak nie daje mi spokoju... I cóż to za dziwna cecha charakteru Rosjanina! Dopóki jesteś wolny, studiujesz albo zbijasz baki, możesz z nim wypić, poklepać go po ramieniu i do córki się pozalecać, ale skoro tylko jesteś w najmniejszym bodaj stopniu od niego zależny, to już za wysokie progi na twoje nogi... Zagłuszam, wiesz, myśli, jak tylko mogę, ale mimo to wciąż podchodzi mi do gardła... Podejdzie, ściśnie i tak... zdławi... Aż wreszcie czuję pod powiekami mokro... mój Boccaccio urywa się i... niech to wszyscy diabli! Dostojna sala rozbrzmiewa zgoła innymi dźwiękami... Atak historyczny...

– Łżesz!

– Jak Boga kocham... – mówi Rublow czerwieniejąc i usiłując się uśmiechnąć. – Ale skandal, co? Zatem czuję, że ciągną mnie do przedpokoju... wkładają mi futro... Słyszę głos gospodarza: „Kto spoił tapera? Kto ośmielił się dać mu wódki?” A na zakończenie... za kołnierz i jazda... Niezła heca? Cha, cha... Wtedy wcale mi nie było do śmiechu, ale teraz okropnie chce mi się śmiać... okropnie! Chłop na schwał... drab... jak strażacka wieża i nagle – spazmy! Cha, cha, cha!

- Cóż w tym śmiesznego? – pytam patrząc jak ramiona i głowa Rublowa trzęsą się ze śmiechu. – Pietia, na miłość boską... Co w tym śmiesznego? Pietia! Kochanie!

Ale Pietia zanosi się od śmiechu i w jego chichocie bez trudu rozpoznaję atak hysterii. Zaczynam krzątać się koło niego klnąc, że w moskiewskich hotelach nie ma zwyczaju stawiać na noc karafki z wodą.

Przełożyli Janina i Jan Brzechwowie

PIERWSZY AMANT

Jewgienij Aleksiejewicz Podzarow – jeune-premier⁸, mężczyzna postawny, elegancki, o twarzy pociągłej, z workowatymi cieniami pod oczyma – przyjechał na sezon do jednego z południowych miast i przede wszystkim postarał się zawrzeć znajomość z kilkoma czcigodnymi rodzinami.

– Tak, senior! – mawiał często, z wdziękiem wymachując nogą i ukazując swoje czerwone skarpetki. – Artysta powinien oddziaływać na masy bezpośrednio i pośrednio: pierwsze osiąga się przez występy na scenie, drugie przez znajomości z czcigodnymi obywatelami miasta. Słowo honoru, parole d'honneur, nie rozumiem, dlaczego nasza brać aktorska unika znajomości z domami rodzinnymi? Pomijam już obiady, imieniny, torty, soir-fixy, pomijam rozrywki – ale jakież moralny wpływ może artysta wyrzucić na społeczeństwo! Czyż nie przyjemna jest świadomość, że się zaproszyło choćby iskierkę w jakąś tam zakutą łepetynę? A typy! A kobiety! Mon Dieu, co za kobiety! Po prostu kręci się w głowie! Trafi człek do jakiegoś kupieckiego domku do strzeżonych dziewiczych komnat, wybierze sobie pomarańczkę jak najśłodsza i – o delicje! Parole d'honneur!

W pewnym mieście na południu Podzarow, między innymi, zawarł znajomość z wielce szanowaną rodziną fabrykanta Zybajewa. Przy wspomnieniu o tej znajomości aktor teraz za każdym razem krzywi się pogardliwie, mruży oczy i nerwowo szarpie łańcuszek.

Razu pewnego – na imieninach Zybajewa – artysta siedział w bawialni swoich nowych znajomych i jak zwykle perorował. Wokół niego w fotelach i na kanapie siedziały „typy” i dobrodusznie słuchały. Z sąsiedniego pokoju dolatywał śmiech niewiast i odgłosy wieczornej herbaty. Założywszy nogę na nogę, popijając każde zdanie łykiem herbaty z rumem i starając się nadać swej twarzy wyraz wyrozumiałego znużenia, aktor opowiadał o swych sukcesach na scenie.

– Jestem przede wszystkim aktorem prowincjonalnym – mówił z pobłażliwym uśmiechem – zdarzało mi się jednak grywać w stolicach. A propos opowiem państwu pewien wypadek doskonale charakteryzujący współczesne nastroje umysłowe. W Moskwie, w dniu mego benefisu, młodzież ofiarowała mi takie mnóstwo wieńców laurowych, że zaklinam się na wszystkie świętości, nie wiedziałem, co z nimi robić! Parole d'honneur! Po pewnym czasie, kiedy mnie przycisnęło, zaniósłem laurowy wieniec do sklepika i... czy państwo odgadną, ile ważył? Dwa pudy i osiem funtów! Cha, cha! Pieniądze przydały mi się jak najbardziej. W ogóle artyści częstokroć bywają biedni. Dziś mam setki, tysiące, a jutro – nic... Dziś brak mi kęsa chleba, a nazajutrz – ostrygi, anchois, niech to diabli!

Obywatele słuchali, statecznie popijając herbatę ze szklanek. Zadowolony gospodarz, nie widząc już, jak dogodzić wykształconemu, interesującemu gościowi, przedstawił mu gościa przyjezdnego, swego dalekiego krewniaka, Pawła Ignatiewicza Klimowa, zażywnego mężczyznę lat czterdziestu, w długim surducie i niezwykle szerokich spodniach.

– Rekomenduję! – rzekł Zybajew przedstawiając Klimowa. – Amator teatru, sam niegdyś występujący, obywatel spod Tuły!

⁸ *Jeune-premier* (fr.) - pierwszy amant.

Podzarow i Klimow wdali się w pogawędkę. Ku wielkiemu zadowoleniu obu współbiesiadników okazało się, że obywatel spod Tuły przebywał często w tym mieście, w którym jeune-premier występował przez dwa sezony z rządu. Posypały się pytania o miasto, o wspólnych znajomych, o teatr...

– Wie pan, ogromnie mi się to miasto podoba! – mówił jeune-premier pokazując swe czerwone skarpetki. – Co za jezdnia, jaki milutki ogród... a co za towarzystwo! Wspaniałe towarzystwo!

– Tak, wspaniałe – potwierdził obywatel spod Tuły.

– Miasto handlowe, ale nader inteligentne!... Na przykład, e–e–e... dyrektor gimnazjum, prokurator... oficerowie... Sprawnik też niczego sobie... Jak powiadają Francuzi, enchante⁹. A kobiety! Na Allacha, co za kobiety!

– Tak, kobiety... istotnie...

– Być może, żem stronnicy! Chodzi o to, że w pańskim mieście, nie wiem dlaczego, diabelnie mi się wiodło w sprawach amorych! Mógłbym napisać z dziesięć romansów. Weźmy, dla przykładu, choćby taki... Mieszkałem przy Jegoriewskiej ulicy, w tym samym domu, gdzie Izba Skarbowa...

– W tym czerwonym, nietynkowanym?

– Tak, tak... w nietynkowanym. W sąsiedztwie, pamiętam jak dziś, w domu Koszczujewa mieszkała tamtejsza piękność, Warieńka.

– Czy nie Warwara Nikołajewna? – zapytał Klimow i rozpromienił się z zadowolenia. – W rzeczy samej – piękność... Najpiękniejsza w całym mieście!

– Najpiękniejsza w mieście! Klasyczny profil... Olbrzymie czarne oczy i warkocz po kolanach. Zobaczyła mnie w *Hamlecie*... Przysyła lista á la Puszkina Tatiana... Ja, rzecz jasna, odpowiadam...

Podzarow obejrzał się, a przekonawszy się, że w bawialni nie ma dam, wzniósł oczy, uśmiechnął się smętnie i westchnął.

– Wracam kiedyś po spektaklu do domu – wyszeptał aktor – a ona siedzi u mnie na kanapie. Zaczynają się łzy, wyznania... pocałunki... Och! Jakaż to była cudna, niezapomniana noc! Nasz romans trwał jeszcze ze dwa miesiące, ale ta noc już się nie powtórzyła. Co za noc, parole d'honneur!

– Przepraszam. Jak to? – wymamrotał Klimow czerwieniąc się i wytrzeszczając na aktora oczy. – Ja doskonale znam Warwarę Pietrownę... to moja siostrzenica!

Podzarow speszył się i też wytrzeszczył oczy.

– Jakżeż to? – ciągnął Klimow rozkładając ręce. – Ja tę pannę znam i... i... dziwi mnie...

– Żałuję bardzo, że tak się stało... – wymamrotał aktor wstając i pocierając małym palcem oko. – Chociaż zresztą... pan, rzecz jasna, jako wuj...

Goście, którzy dotychczas słuchali aktora z przyjemnością, nagradzając go przy tym uśmiechem, skonfundowali się teraz, spuścili oczy.

– Nie, niech pan z łaski swojej cofnie te słowa... – rzekł Klimow, mocno zmieszany. – Proszę bardzo!

– Jeśli to pana... e–e–e... obraża, to owszem! – odpowiedział aktor z jakimś nieokreślonym gestem ręki.

– I niech pan się przyzna, że powiedział pan nieprawdę...

– Ja? Nie... e–e–e... ja nie żelgałem, lecz... żałuję bardzo, że się wygadałem... I w ogóle... nie pojmuję tego pańskiego tonu!

⁹ *Enchante* (fr.) - jestem zachwycony.

Klimow zaczął chodzić z kąta w kąt w milczeniu, jakby się namyślał czy nie mógł zdecydować. Jego pełna twarz stawała się coraz bardziej purpurowa, na szyi napęczniały żyły. Po paru minutach chodzenia podszedł do aktora i powiedział płaczliwym głosem:

– No, proszę się z łaski swojej przyznać, że zełgał pan wszystko o Warieńce! Bardzo proszę!

– Dziwne! – wzruszył ramionami aktor, wymachując nogą i uśmiechając się z przymusem.

– To... to nawet mnie obraża!

– To znaczy, że nie chce pan się przyznać?

– N–nie rozumiem!

– Odmawia pan? Wobec tego, pan daruje... Będę zmuszony do podjęcia bardziej nieprzyjemnych kroków... Albo pana tu natychmiast znieważę, łaskawy panie, albo... jeśli jest pan człowiekiem dobrze urodzonym, to zechc pan przyjąć moje wyzwanie... Będziemy się strzelać!

– Proszę bardzo! – wyskandował jeune–premier z pogardliwym gestem. – Proszę bardzo!

Ogromnie zmieszani goście i gospodarz, nie wiedząc, co z tym począć, odprowadzili Klimowa na bok prosząc, żeby nie robił skandalu. W drzwiach ukazały się zdziwione twarze kobiece... jeune–premier pokręcił się chwilę, popaplał, po czym z takim wyrazem twarzy, jak by nie mógł pozostawać nadal w domu, w którym go obrażają, wziął czapkę i wyszedł bez pożegnania.

W drodze do domu jeune–premier wciąż się pogardliwie uśmiechał i wzruszał ramionami, kiedy jednak wrócił do numeru i wyciągnął się na kanapie, ogarnął go wielki niepokój.

„Do diabła – myślał. – Pojedynek to głupstwo, nie zabije mnie, ale najgorsze, że dowiedzą się o tym koledzy, którzy przecież doskonale wiedzą, że zełgałem. Obrzydliwość! Wstyd na całą Rosję...”

Podżarow pomyślał, zapalił papierosa i wyszedł na ulicę, żeby się uspokoić.

„Trzeba by pogadać z tym burbonem – myślał – wbić do tej zakutej głowy, że jest bałwan, dureń... że się go wcale nie boję...”

Jeune–premier przystanął przed domem Zybajewa i spojrzął w okna. Za muślinowymi firankami paliły się jeszcze światła, poruszały się postacie.

– Zaczekam – postanowił aktor.

Było ciemno i chłodno. Jak przez sito mżył obrzydliwy jesienny deszczyk... Podżarow oparł się łokciem o latarnię i pogrążył cały w niepokoju.

Zmęczył się, przemókł na wskroś.

O drugiej w nocy z domu Zybajewa zaczęli wychodzić goście... W końcu ukazał się w drzwiach obywatel spod Tuły. Westchnął głośno na całą ulicę i poczłapał po chodniku swymi ciężkimi kaloszami.

– Przepraszam! – zaczął jeune–premier dogoniwszy go. – Chwileczkę!

Klimow przystanął. Aktor uśmiechnął się i zaczął mówić krygując się i jękając:

– Ja... ja przyznaję się... Skłamałem...

– Nie, pan zechce przyznać się publicznie! – rzekł Klimow i znowu stał się purpurowy. – Ja tej sprawy tak nie zostawię...

– Ale ja przecież przepraszam! Błagam pana... pan rozumie?... Błagam dlatego, że pojedynek, przyzna pan, spowoduje plotki, a ja jestem na służbie... mam kolegów... Mogą pomyśleć Bóg wie co...

Jeune–premier starał się okazać obojętnym, uśmiechał się, trzymał się prosto, ale natura nie była mu powolna: głos drżał, mrugały powieki w poczuciu winy, głowa ciążyła w dół. Długo jeszcze coś nieskładnie mamrotał.

Klimow wysłuchawszy go pomyślał i westchnął.

– Niech już tam! – wyrzekł. – Niech panu Bóg przebaczy. Tylko niech pan już więcej nie kłamie, młody człowieku! Nic tak nie upokarza człowieka, jak kłamstwo... Ta-ak! Jest pan młody, wykształcony...

Obywatel spod Tuły dobrodusznie, ojcowskim tonem prawił morały, a jeune-premier słu-chał i potulnie uśmiechał się...

Kiedy obywatel spod Tuły skończył, aktor wyszczerzył w uśmiechu zęby, skłonił się i od-szedł ciężkim krokiem, cały dziwnie skulony, kierując się ku hotelowi.

Po półgodzinie, kładąc się spać i nie czując już żadnego niebezpieczeństwa, był w dosko-nałym nastroju. Spokojny, zadowolony, że nieporozumienie skończyło się tak szczęśliwie, otulił się kołdrą, szybko usnął i spał mocno do dziesiątej rano.

Przełożyła Irena Bajkowska

DRAMATURG

Do gabinetu lekarza wchodzi mętna osobistość o przymglonym spojrzeniu i zakatarzonej fizjonomii. Sądząc z rozmiarów nosa i mrocznego, pełnego melancholii wyrazu twarzy, osobistość nie stroni od spirytualiów, nieobcy jest jej również chroniczny katar i filozofia.

Osobistość zasiada w fotelu i skarży się na zadyszkę, czkawkę, zgagę, melancholię i okropny niesmak w ustach.

– Czym się pan trudni? – pyta doktor.

– Jestem dramaturgiem! – nie bez dumy oświadcza osobistość.

Doktor niezwłocznie nabiera szacunku do pacjenta i uśmiecha się z respektem.

– Ach, to tak rzadko spotykana specjalność... – mruczy uprzejmie. – Takie mnóstwo pracy mózgu, wysiłków nerwów!

– No, chy–ba–a...

– Literatów spotyka się tak rzadko... życia ich nie można porównać z egzystencją zwyczajnych ludzi... dlatego też proszę, aby pan zechciał opisać mi pański tryb życia, zajęcia, przyzwyczajenia, otoczenie... i w ogóle jakim kosztem osiąga pan swoją działalność twórczą...

– Proszę bardzo... – zgadza się dramaturg. – Wstaję, mój łaskawco, około dwunastej, a czasami nawet wcześniej... Następnie od razu wypalam papierosa i wypijam dwa kieliszki wódki, a bywa też, że trzy... Zdarza się zresztą – i cztery, to już zależy od tego, ile wypilem dnia poprzedniego... Ta–ak... Jeżeli nie wypiję, to ćmi mi się w oczach i łupie w głowie.

– Pan, prawdopodobnie, w ogóle dużo pije?

– Nie–e, gdzie tam dużo? Picie na czczo, zależy po prostu, jak sądzę, od stanu nerwów... Potem ubieram się i idę na śniadanie do „Livorno” lub Sawrasienkowa... Apetyt w ogóle mam marny... Zjadam na śniadanie odrobinę: kotlecik lub pół porcji jesiotra z chrzanem. Specjalnie łykam ze trzy, cztery kieliszki, a apetytu jak nie ma, tak nie ma... Po śniadaniu piwo lub wino – zależnie od stanu finansów...

– No a później?

– Później idę gdzieś do winiarni, z winiarni znów do „Livorno” zagrać w bilard... Powalęsa się tak człowiek do godziny szóstej i jazda na obiad... Obiad zjadam z obrzydzeniem, z muzu... Uwierzy mi pan, że czasem wypiję sześć, siedem kieliszków, a apetytu – ani, ani. Aż zazdrość bierze, gdy się na ludzi patrzy. Wszyscy, na przykład, jedzą zupę, a ja nawet spojrzeć na zupę nie mogę! Zamiast jeść – piję piwo... Po obiedzie idę do teatru.

– Hm... a w teatrze pan pewnie wzrusza się, przejmuje?...

– Okropnie! Przejmuję się i irytuję, a tu jeszcze raz po raz przyjaciele namawiają: „Wypijmy a wypijmy!” Z jednym wypije się wódki, z drugim – czerwonego, z trzecim – piwa i ani się obejrzysz, nim trzeci akt rozpoczną, już się człowiek ledwo na nogach trzyma... Diabli wiedzą co – wszystko to nerwy... Po teatrze – jadę do „Salonu” lub na maskaradę do R–rr–dona... A z maskarady czy z „Salonu”, sam pan rozumie, nie łatwo się wyrwać. Dziękuj Bogu, człeczce, jeżeliś rankiem obudził się w domu... A i tak się zdarza, że całymi tygodniami nie nocuję w domu

– Hm... bada pan życie, obserwuje?

– N–no tak... Pewnego razu takem nerwy rozstroił, że cały miesiąc w domu nie mieszkałem i nawet swój adres zapomniałem... Musiałem informować się w biurze adresowym... Tak oto, jak pan widzi, prawie dzień w dzień...

– No, a kiedy pan swe dramaty pisze?

– Dramaty? Jak by to panu powiedzieć? – wzrusza ramionami literat. – Wszystko zależy od okoliczności...

– Może pan zechce opisać mi sam proces swej pracy...

– Przede wszystkim, łaskawco, trafia mi do rąk przypadkiem lub przez przyjaciół – sam nie mam czasu pilnować tego! – trafia mi, powiadam, jakaś francuska lub niemiecka sztuczka. Jeżeli mi się nada, to niosę ją do siostry lub wynajmuję za pięć rubeli studenta... Ci mi tłumaczą, a ja, pojmuje pan, dopasowuję do rosyjskich obyczajów, stosunków: zamiast cudzoziemskich nazwisk wstawiam rosyjskie, no i tak dalej... oto i wszystko... Ale to trudne! Och, jakie trudne!

Mętna osobistość wznosi oczy do góry i wzdycha... Doktor zaczyna go opukiwać, osłuchiwać, badać...

Przełożyła Maria Mongirdowa

CHÓRZYSTKA

Pewnego razu, kiedy była jeszcze młodsza, ładniejsza i głos miała lepszy, siedział u niej na letnisku, na półpiętrze, Nikołaj Pietrowicz Kołpakow, jej adorator. Było nie do zniesienia gorąco i duszno. Kołpakow dopiero co zjadł obiad i wypił całą butelkę kiepskiego portwajnu, czuł się niezdrów i był bez humoru. Oboje nudzili się i czekali, aż zelżeje spiekota, żeby pójść na spacer.

Wtem nieoczekiwanie do przedpokoju ktoś zadzwonił. Kołpakow, który był bez surduta i w pantoflach, zerwał się i spojrzał pytająco na Paszę.

– Chyba listonosz albo moja przyjaciółka – rzekła śpiewaczka.

Nikołaja Pietrowicza nie krępowali ani listonosze, ani przyjaciółki Paszy, ale na wszelki wypadek zgarnął oburącz odzienie i wyszedł do sąsiedniego pokoju, a Pasza pobiegła otworzyć drzwi. Ku jej wielkiemu zdziwieniu na progu nie było ani listonosza, ani przyjaciółki, lecz jakaś nieznajoma kobieta, młoda, piękna, z pańska ubrana i, najwidoczniej, z „przyzwyczajonych”.

Nieznajoma była blada i ciężko dyszała, jakby po wejściu na wysokie schody.

– Czego pani sobie życzy? – spytała Pasza.

Pani nie zaraz odpowiedziała. Postąpiła krok naprzód, z wolna rozejrzała się po pokoju i usiadła z taką miną, jakby wskutek zmęczenia lub złego stanu zdrowia nie mogła ustać na nogach; potem długo poruszała bladymi wargami, usiłując coś wypowiedzieć.

– Jest u pani mój mąż? – spytała wreszcie, podnosząc na Paszę swoje wielkie oczy z czerwonymi od płaczu powiekami.

– Jaki mąż? – wyszeptwała Pasza i nagle przelękła się tak, że zziębły jej ręce i nogi. – Jaki mąż? – powtórzyła i dreszcz nią wstrząsnął.

– Mój mąż... Nikołaj Pietrowicz Kołpakow.

– Nn... nie, pani. Ja... ja żadnego męża nie znam.

W milczeniu przeminęła minuta. Nieznajoma kilka razy przesunęła chusteczką po bladych ustach i, żeby pokonać wewnętrzne drżenie, wstrzymywała oddech, a Pasza stała przed nią nieruchomo, jak wrosła w ziemię, i patrzyła na nią ze zdumieniem i strachem.

– Więc pani mówi, że go tu nie ma? – spytała dama już twardym głosem i jakoś dziwnie się uśmiechając.

– Ja... ja nie wiem, o kogo pani pyta?

– Ohydna pani jesteś, podła, wstrętna – mruknęła nieznajoma, oglądając Paszę z nienawiścią i obrzydzeniem. – Tak... tak... ohydna! Bardzo, bardzo rada jestem, że mogę to nareszcie pani powiedzieć.

Pasza poczuła, że wywiera na tej damie w czerni, z gniewnym spojrzeniem, z białymi delikatnymi palcami, wrażenie czegoś szpetnego i potwornego, i zawstydzila się swych pulchnych, czerwonych policzków, dziobów na nosie i grzywki na czole, która w żaden sposób nie dawała się zaczesać do góry. I wydało jej się, że gdyby była szczuplutką, nie upudrowaną i bez grzywki, to można byłoby ukryć, że nie jest „przyzwyczajoną”, i nie byłoby tak strasznie i taki wstyd stać teraz przed nieznajomą, tajemniczą damą.

– Gdzie jest mój mąż? – nastawała dama. – Zresztą, czy on tu jest, czy go nie ma, to mnie wszystko jedno, ale muszę pani powiedzieć, że wykryto sprzeniewierzenie i Nikołaja Pietrowicza poszukują... Chcą go aresztować. Oto co pani narobiła!

Dama wstała i mocno wzburzona przeszła się po pokoju. Pasza patrzyła na nią i ze strachu nie rozumiała.

– Dziś go znajdą i zaaresztują – rzekła dama i zaszlochała, a w tym szlochu brzmiały i rozdrażnienie, i obraza. – Ja wiem, kto go doprowadził do takiej okropności! Ohydna! Wstrętna! Odrażająca, sprzedajna kreaturo! (Usta damy wykrzywiły się, a nos jej zmarszczył się z obrzydzenia.) – Jestem bezsilna... niech pani mnie posłucha, niktzemna kobieto!... Jestem bezsilna, pani jest silniejsza ode mnie, ale jest komu ująć się za mną i za moimi dziećmi! Bóg wszystko widzi! Bóg jest sprawiedliwy! On pani każdą moją łzę policzy, wszystkie moje noce bezsenne! Przyjdzie czas, pani mnie popamięta!

Znów zapadło milczenie. Dama chodziła po pokoju i łamała ręce, a Pasza wciąż jeszcze patrzyła na nią tępo, ze zdumieniem, nie rozumiała i oczekiwała czegoś strasznego.

– Ja, proszę pani, ja nic nie wiem – przemówiła i nagle się rozplakała.

– Pani kłamiesz! – krzyknęła dama i błysnęła ku niej złymi oczyma. – Ja wszystko wiem! Ja dawno już panią znam! I wiem, w ostatnim miesiącu co dzień u pani przesiadywał.

– Tak. Więc cóż stąd? U mnie bywa dużo gości, ale ja nikogo nie przymuszam. Wolnemu – wolna droga.

– Powiadam pani: wykryli sprzeniewierzenie. Mój mąż roztrwonił na służbie cudze pieniądze! I to dla takiej... jak pani, dla pani zdecydował się na przestępstwo. Niech pani mnie posłucha – rzekła dama stanowczym tonem, zatrzymując się przed Paszą. – Pani nie może mieć zasad, pani żyje tylko po to, żeby siać zło, to pani cel, ale niepodobna przypuścić, że pani już tak nisko upadła, żeby nie zostało w pani nawet śladu ludzkich uczuć! On ma żonę, dzieci... Jeśli go zasądzą i ześlą, to ja z dziećmi pomrzemy z głodu... Niechże pani to zrozumie! A przecież jest sposób, żeby ocalić i jego, i nas od nędzy i hańby. Jeżeli dzisiaj wpłacę dziewięćset rubli, to go zostawią w spokoju. Tylko dziewięćset rubli!

– Jakie dziewięćset rubli? – cicho spytała Pasza. – Ja... ja... nie wiem... Ja nie brałam.

– Nie proszę panią o dziewięćset rubli... pani pieniędzy nie ma i nie potrzeba mi paninych pieniędzy. Proszę o co innego. Mężczyźni takim jak wy dają zwykle kosztowne prezenty. Niech mi pani zwróci tylko te kosztowności, które jej podarował mój mąż!

– Ależ, pani, on mi żadnych prezentów nie dawał! – pisała Pasza zaczynając rozumieć.

– A gdzież pieniądze? Roztrwonił swoje, moje i cudze... Gdzież się to wszystko podziało! Byłam wzburzona i nagadałam pani mnóstwo nieprzyjemności, ale przepraszam panią. Ja wiem, pani musi mnie nienawidzić, ale jeśli pani zdolna jest współczuć, to proszę wejść w moje położenie! Błagam, niech pani zwróci mi te rzeczy!

– Hm – rzekła Pasza i wzruszyła ramionami. – Ja bym z przyjemnością... ale niech mnie Bóg skarże, jeśli on mi coś dawał. Sumiennie mówię. A zresztą pani ma rację – zmieszana się śpiewaczka – jakoś tak przywiózł mi dwie drobnostki. Proszę, oddam, jeżeli pani sobie życzy...

Pasza wyciągnęła jedną z szufladek toalety i wyjęła z niej małą dętą złotą bransoletkę i cienki pierścionek z rubinem.

– Proszę! – rzekła podając to gościowi.

Pani zapłoniła się i twarz jej drgnęła. Obraziła się.

– Cóż to pani mi daje? – powiedziała. – Ja nie o jałmużnę proszę, ale o to, co nie do pani należy... co pani, korzystając ze swego położenia, wycisnęła z mojego męża... z tego słabego, nieszczęsnego człowieka... we czwartek, kiedy widziałam panią z moim mężem na przystani, miała pani na sobie drogie broszki i bransoletki. Więc nie ma co udawać przede mną niewinnego baranka! Po raz ostatni proszę: odda mi pani te rzeczy albo nie?

– Jaka pani, dalibóg, dziwna – powiedziała Pasza, która czuła się już dotknięta. – Upewniam panią, że od paninego Nikołaja Pietrowicza oprócz tej bransoletki i pierścioneczka nic nie dostałam. Ciastka mi tylko przywoził.

– Ciastka... – uśmiechnęła się nieznamoma. – W domu dzieci nie mają co jeść, a tu – ciastka. Pani stanowczo odmawia zwrócenia mi tych rzeczy?

Nie otrzymawszy odpowiedzi dama usiadła i o czymś zadumana wpatrywała się w jeden punkt.

– Cóż teraz począć? – wyrzekła. – Jeśli nie dostanę dziewięciuset rubli, to i on zginie, i ja z dziećmi zginę. Zabić tę łajdaczkę, czy uklęknąć przed nią, czy co?

Dama przycisnęła chusteczkę do twarzy i załkała.

– Ja panią proszę! – dawało się słyszeć poprzez łkanie. – Przecież pani zrujnowała i zgubiła mojego męża, niechże go pani ratuje... Pani nie ma współczucia dla niego, ale dzieci... dzieci... Co dzieci zawiniły?

Pasza wyobraziła sobie małe dzieci, jak stoją na ulicy i płaczą z głodu, i sama zaszłochała.

– Cóż ja mogę zrobić, pani moja? – powiedziała. – Pani mówi, że łajdaczką i że zrujnowałam Nikołaja Pietrowicza, a ja pani jak przed Panem Bogiem... ja panią zapewniam, że z niego żadnych korzyści nie mam... W naszym chórze tylko Motia ma bogatego, co ją utrzymuje, a my wszystkie ledwo poradzimy, żeby mieć co do gęby włożyć. Nikołaj Pietrowicz wykształcony i delikatny pan, no tom go przyjmowała. Nam nie wolno nie przyjmować.

– Ja proszę o biżuterię! Biżuterię mi dawać! Ja płaczę... poniżam się... Chce pani, to na kolana padnę! Proszę bardzo!

Pasza krzyknęła ze strachu i zamachała rękoma. Czuła, że ta blada piękna pani, wyrażająca się szlachetnie jak w teatrze, może naprawdę przed nią uklęknąć, właśnie z pychy, ze szlachetności, żeby siebie wywyższyć, a chórzystkę poniżyć.

– Dobrze, oddam pani te rzeczy – zamiotła się Pasza obcierając oczy. – Proszę. Tylko że to nie od Nikołaja Pietrowicza. To podostawałam od innych gości... Jak pani uważa...

Pasza wysunęła górną szufladę komody, wyjęła stamtąd broszkę z diamentem, sznur korali, kilka pierścionków, bransoletkę i podała to wszystko damie.

– Niech pani weźmie, jeżeli pani sobie życzy, ale ja od pani męża nie miałam żadnych pożytków. Bierz pani, wzbogacaj się – ciągnęła Pasza, obrażona groźbą uklęknienia. – A jeśli pani jest jego szlachetna... prawowita małżonka, to trzymałaby go pani przy sobie. Tak jest! Ja go do siebie nie zapraszałam, sam przyszedł...

Pani przez łzy obejrzała podane sobie rzeczy i powiedziała:

– To nie wszystko... Tego nie będzie nawet na pięćset rubli.

Pasza porywczo wyrzuciła jeszcze z szuflady złoty zegarek, papierośnicę i spinki i rozkładając ręce rzekła:

– Więcej mi nic już nie zostało... Może mnie pani obszukać!

Dama westchnęła, drżącymi rękoma zwinęła wszystko w chusteczkę i, nie wymówiwszy słowa, nie kiwnąwszy nawet głową, wyszła.

Drzwi od sąsiedniego pokoju otworzyły się i wyszedł Kołpakow. Był blady i nerwowo potrząsał głową, jakby dopiero co połknął coś bardzo gorzkiego; w oczach jego błyszczały łzy.

– Jaką biżuterię pan mi przynosił? – wpadła na niego Pasza. – I kiedy, pozwól pan, że zapytam?

– Biżuteria... Głupstwo tam... biżuteria! – przemówił Kołpakow i potrząsnął głową. – Mój Boże! Ona przed tobą płakała, poniżała się...

– Ja pana pytam: jakie mi pan kosztowności przynosił? – krzyknęła Pasza.

– Mój Boże, ona, cnotliwa, dumna, czysta... nawet uklęknąć chciała przed... przed tą dziewczką! I to ja ją do tego doprowadziłem! Ja do tego dopuściłem!

Chwycił się za głowę i jęknął:

– Nie, nigdy sobie tego nie przebaczę! Nie przebaczę! Idź precz ode mnie... Ścierko! – krzyknął z odrazą, cofając się przed Paszą i odsuwając ją od siebie drżącymi rękoma. – Ona chciała ukłęknać i... przed kim? Przed tobą! O mój Boże!

Ubrał się prędko i obchodząc ze wstrętem Paszę skierował się ku drzwiom i wyszedł.

Pasza położyła się i zaczęła głośno płakać. Żal jej było rzeczy, które oddała była na gorąco, i czuła się skrzywdzona. Przypomniała sobie, jak trzy lata temu pewien kupiec zbił ją nie wiadomo za co i po co, i jeszcze głośniejsz zapłakała.

Przełożyła Maria Dąbrowska

BARON

Baron – to drobny, chudy starowina około sześćdziesiątki. Jego szyja i kręgosłup tworzą kąt rozwarty, który wkrótce stanie się kątem prostym. Ma wielką kanciastą głowę, kaprawe oczki, nos kulfoniasty i lekko fioletowy podbródek. Na całej twarzy rozlana lekka sinica, zapewne dlatego, że spirytus stoi w tej szafie, którą rzadko zamyka rekwizytor. Zresztą oprócz urzędowego spirytusu baron używa też czasem szampana, który często można znaleźć w garderobie aktorów, na dnie butelek i szklanek. Policzki barona i worki pod oczyma zwisają i drżą jak ściereczki rozwieszane do wysuszenia. Na łysinie dostrzec można zielonkawy nalot od zielonej podszewki futrzanej uszatej czapki, którą baron, jeśli kiedykolwiek zdejmuje z głowy, to wiesza na zepsutym palniku gazowym za trzecią kulisą. Głos barona brzeczy jak pęknięty rondel. A garnitur? Jeśli, czytelniku, śmiejesz się z tego garnituru, to znaczy, że nie uznajesz autorytetów, co nie przysparza ci zaszczytu. Brązowy surdut bez guzików, o wytartych rękawach i wystrzępionej, frędzlastej podszewce, to przecież wspaniały surdut. Chybcze się na wąskich ramionach barona, jak na połamanym wieszaku, lecz... cóż stąd? Przecież okrywał ongi genialne ramiona największego z komików. Aksamitna kamizelka w niebieskie kwiatki ma ze dwadzieścia dziur i nieskończoną ilość plam, ale przecież niepodobna jej wyrzucić, skoro znaleziona była w pokoju, w którym mieszkał wielki Salvini! Któż może zaręczyć, że nie nosił jej sam tragic? Znaleziono ją następnego dnia po wyjeździe wielkiego aktora, a więc można przysiąc, że nie jest falsyfikatem. Krawat otulający szyję barona jest nie mniej wspaniały. Można by się nim szczyścić, jakkolwiek ze względów czysto higienicznych i estetycznych należałoby go raczej zastąpić innym, bardziej solidnym i mniej zatłuszczonym. Jest wykrojony z resztek wspaniałego płaszcza, którym niegdyś okrywał swe ramiona Ernesto Rossi, gawędząc w *Makbecie* z wiedźmami.

– Mój krawat jest przesycony zapachem krwi króla Dunkana! – mówi często baron szukając w swym krawacie insektów.

Z pstrych, prążkowanych, przykrótkich spodni barona możesz się śmiać, czytelniku, do woli. Nie nosiła ich przedtem żadna wybitna osobistość, choć aktorzy żartują, że spodenki te zostały uszyte z żagla parowca, którym Sara Bernhardt jeździła do Ameryki. Są one nabyte od biletera nr 16.

Barona można zobaczyć tylko w trzech miejscach: w kasie, w budce suflerskiej i za sceną w męskiej garderobie. Poza tymi miejscami baron nie istnieje, jest prawie nie do pomyślenia. W kasie nocuje, a w dzień zapisuje nazwiska kupujących loże; poza tym gra z kasjerem w warcaby. Stary skrofuliczny kasjer to jedyny człowiek, który słucha, co mówi baron, i odpowiada na jego pytania. W budce suflerskiej baron wypełnia swe święte obowiązki; tam zarabia na kawałek chleba powszedniego. Budka ta wymalowana jest na lśniący biały kolor tylko na zewnątrz; wewnątrz ściany jej pełne są pajęczyn, szpar i zadziarów. Pachnie tam wilgocią, wędzonymi rybami i spirytusem. W antraktach baron sterczy w garderobie męskiej. Nowicjusze, którzy po raz pierwszy wchodzą do tej garderoby, na widok barona pokładają się ze śmiechu i klaszczą w dłonie. Biorą go za aktora.

– Brawo, brawo! – wołają. – Świetnie się pan ucharakteryzował! Co za śmieszny pyszczek! Skąd pan wziął tak oryginalne ubranie?

Nieszczęsny baron! Nikt nawet nie podejrzewa, że ma on własną fizjonomię!

W garderobie rozkoszuje się oglądaniem znakomitości lub też, o ile nie ma znakomitości, ośmiela się wtrącać do cudzych rozmów swoje uwagi, których ma zawsze mnóstwo. Jego uwagami nikt się nie przejmuje, gdyż obrzydły już wszystkim i trącą rutyną; uwagi te bez żadnych ceregieli puszcza się mimo uszu. W ogóle z baronem nikt się nie liczy. Jeżeli kręci się przed nosem i przeszkadza, to mówią mu. „Wynoś się pan!” Jeżeli szepcze z budki za cicho lub za głośno, posyłają go do diabła i grożą mu karą czy wydaleniem. Baron jest przedmiotem większości zakulisowych dowcipów i kalamburów. Można bez obawy ostrzyć na nim swój dowcip: na pewno nie odetnie się.

Minęło już dwadzieścia lat, jak zaczęto go przezywać „baronem”, ale przez dwadzieścia lat ani razu nie zaprotestował przeciw temu przydomkowi.

– Można narzucić mu przepisanie roli i – nie zapłacić. Wszystko można! Kiedy nadepną mu na nogę, uśmiecha się, przeprasza zażenowany. Spróbuj uderzyć go publicznie w pomarszczone policzki, a słowem honoru ręczę ci, czytelniku, że nie pójdzie ze skargą do sędziego. Oderwij kawałek podszewki od jego niezwykłego, gorąco przezeń ukochanego surduta, jak to zrobił niedawno jeune-premier, a baron zacznie tylko mrugać oczkami i zaczerwieni się. Taka jest potęga jego zahukania i pokory! Nikt go nie poważa. Dopóki żyje – tolerują go, kiedy umrze – zapomną o nim natychmiast. Żałosne stworzenie!

A jednak były czasy, kiedy omal że nie został kolegą i bratem tych, których uwielbiał i kochał ponad życie. (Nie mógł nie kochać ludzi, którzy od czasu do czasu bywają Hamletami i Franciszkami Moorami!) Sam omal nie został aktorem i z pewnością zostałby nim, gdyby nie pewien śmieszny drobiazg. Nie zbywało mu na talencie, nie brakło wytrwałości, na początku nawet nie brakło protekcji, ale zabrakło drobiazgu: odwagi. Wiecznie mu się zdawało, że one, te głowy, które wypełniają pięć piętér, cały parter i galerię, wybuchną śmiechem i zaczną gwizdać, skoro tylko on ośmieli się ukazać na scenie. Bładł, czerwieniał i niemiał z przerażenia, kiedy proponowano mu debiut.

– Poczekam trochę – mówił.

Czekał tak długo, aż się zestarzał, zrujnował i dzięki protekcji dostał się do suflerskiej budki.

Został suflerem, ale to nie byłoby złe: przynajmniej teraz już nie wyrzucą go z teatru za to, że nie ma biletu – jest na służbie. Siedzi przed pierwszym rzędem, widzi najlepiej i nie płaci za swoje miejsce ani kopiejki. To jest dobre. Jest szczęśliwy i zadowolony.

Obowiązki swe wypełnia znakomicie. Przed przedstawieniem czyta sztukę po kilka razy, aby się nie omylić, a kiedy wybija pierwszy dzwonek, siedzi już w budce i przerzuca kartki książeczki. Trudno jest znaleźć w teatrze kogoś bardziej sumiennego.

A jednak trzeba będzie usunąć go z teatru.

W teatrze nie powinno się tolerować awantur, baron zaś od czasu do czasu wyczynia okropne awantury. Urządza skandale.

Kiedy na scenie grają wyjątkowo dobrze, odrywa oczy od swej książeczki i milknie. Bardzo często przerywa swój szept okrzykami: „Brawo! Świetnie!” – i pozwala sobie klasnąć wtedy, kiedy nie klaszcze publiczność. Raz nawet gwizdał, za co omal nie stracił posady.

Spójrzcie na niego, kiedy tak siedzi w swej zasmrodzonej budce i szepcze. Czerwienieje, blednie, gestykułuje, szepcze głośniej, niż należy, zacina się. Niekiedy słyhać go nawet na korytarzach, gdzie w szatniach ziewają bileterzy. Baron pozwala sobie nawet kłać w budce i dawać rady aktorom.

– Prawą rękę do góry! – szepcze nieraz. – Pan wypowiada płomiennie słowa, a twarz jak lód! To nie dla pana rola! Taki młokos i taka rola! Gdyby pan widział w tej roli Ernesta Rossi! Po co ta szarża? O mój Boże! Wszystko zepsuł tą mieszczańską manierą!

Szepcze podobne słowa zamiast czytać tekst z książki. Niepotrzebnie tolerują tego cudaka. Gdyby go wyrzucono, publiczność nie musiałaby być świadkiem skandalu, który się rozegrał w tych dniach.

Z tym skandalem było tak:

Dawano *Hamleta*. Teatr wypełniony. Szekspira słuchamy dziś równie chętnie, jak przed stu laty. Kiedy dają Szekspira, baron przeżywa stan największego podniecenia. Dużo pije, dużo mówi i nieustannie pociera pięściami skronie. W głowie jego wre gorączkowa praca. Starczy mózg podnieca wściekła zawiść, rozpacz, nienawiść, marzenia... Przecież to on powinien grać Hamleta, chociaż Hamleta trudno skojarzyć z garbem i ze spirytusem, który zapomniał zamknąć rekwizytor. On, a nie te nędzne pigmeje, co dziś grają lokajów, jutro stręczycieli, pojutrze Hamleta! Czterdzieści już lat studiuje królewicza duńskiego, o którym marzą wszyscy prawdziwi aktorzy, a który uwieńczył laurem nie tylko skronie Szekspira. Czterdzieści już lat studiuje, cierpi, spala się w marzeniu... A śmierć nie za górami. Przyjdzie już wkrótce i na zawsze wyrwie go z teatru... Gdyby choć jeden jedyny raz w życiu uśmiechnęło się doń szczęście, gdyby mógł przejść przez scenę w królewskiej szacie brzegiem morza, pod skałami, na odludziu, które

Już samo tamto miejsce bez żadnego
Innego wpływu budzi rozpaczliwe
Usposobienie w każdym, kto spostrzeże
Morze na tyle sążni tuż pod sobą
I słyszy jego huk.¹⁰

Jeśli nawet marzenia sprawiają, że człowiek niknie w oczach, to jakim ogniem spłonąłby łysy baron, gdyby jego marzenie przybrało kształt rzeczywistości!

Opisywanego wieczora z zawiści i gniewu gotów był pożreć cały świat. Rolę Hamleta powierzono chłopczynie o słabiutkim tenorku, a co najważniejsze – rudemu. Czyż Hamlet był rudy?

Baron siedział w swej budce jak na rozżarzonych węglach. Kiedy Hamleta nie było na scenie – baron był względnie spokojny, kiedy jednak zjawiał się na scenie rudowłosy tenorek, baron zaczynał się wiercić, ciskać, stękać. Szept jego podobny był bardziej do jęku aniżeli czytania. Ręce mu się trzęsły, strony płątały, stawiał lichtarze to bliżej, to dalej... Wpijał się wzrokiem w Hamleta i przestawał szeptać... Pragnął namiętnie wyrwać z rudej głowy wszystkie włosy – co do jednego. Niechaj już raczej Hamlet będzie łysy niż rudy! Jak szarżować, to szarżować, do diaska!

W drugim akcie już wcale nie szeptał, tylko chichotał złośliwie, klął, sykał. Na jego szczęście aktorzy dobrze umieli rolę i nie zauważyli jego milczenia.

– Dobry Hamlet! – klął baron. – Nie ma co! Cha, cha! Panowie junkrzy nie znają swych miejsc! Powinni latać za szwaczkami, a nie grać na scenie! Gdyby Hamlet miał tak głupią twarz, to wątpię, czy Szekspir napisałby swą tragedię!

Kiedy już zbrzydły mu przekleństwa, zaczął pouczać rudego aktora. Gestykulując rękami i twarzą, czytając i waląc pięściami po książce żądał, aby aktor słuchał jego rad. Musiał uchronić Szekspira od pohańbienia, dla Szekspira gotów jest na wszystko – chociażby na sto tysięcy skandali!

W rozmowie z aktorami rudy Hamlet był okropny. Zgrywał się niczym ten „długowłosy drab–aktor”, o którym sam Hamlet mówi: „Takiego aktora potrafiłbym zbić”. Kiedy zaczął deklamować – baron nie wytrzymał. Dusząc się i uderzając łysiną w sufit budki, położył lewą rękę na pierś, a prawą zaczął gestykulować. Starczy naderwany głos przerwał rudemu aktorowi i zmusił go do skierowania oczu na budkę:

¹⁰ *Hamlet* Szekspira w tłumaczeniu J. Paszkowskiego.

... rozpalony
Gniewem i ogniem i skrzepli zarazem
Od stęglej na nim posoki; oczyma
Jak karbunkuły płomieniejącymi
Szuka piekielny Pirrus sędziwego
Starca Pryama...

Po czym wysunięty do połowy z budki, baron skinął głową pierwszemu aktorowi i dodał już nie recytatorskim, lecz zgaszonym, niedbałym głosem:

– Mów pan dalej!

Pierwszy aktor zaczął mówić, ale nie od razu. Przez chwilę milczał i przez ten czas w teatrze panowała głęboka cisza. Milczenie to przerwał sam baron, który odrzuciwszy w tył głowę, uderzył nią o kant budki. Rozległ się śmiech.

– Brawo, doboasz! – krzyknął ktoś z paradyżu.¹¹

Sądzono, że Hamletowi przerwał nie sufler, ale stary doboasz, drzemiący w orkiestrze. Dobosz skłonił się po błazeńsku paradyżowi, a cały teatr zadrżał ze śmiechu. Publiczność lubi nieporozumienia teatralne i gdyby zamiast sztuki były same nieporozumienia, to płaciłaby chętnie dwa razy więcej.

Pierwszy aktor kontynuował i po chwili znowu zapanowała cisza.

Lecz cudak–baron usłyszawszy śmiech oblał się rumieńcem wstydu, chwycił się za łysinę, zapominając prawdopodobnie, że nie ma już tych włosów, w których ongi kochały się piękne kobiety. Teraz nie dość, że wyśmieję go całe miasto i wszystkie pisma humorystyczne, ale jeszcze wyrzucą go z teatru! Płonął ze wstydu, złościł się na siebie, lecz zarazem drżał cały z zachwytu: a jednak przed chwilą deklamował! „To nie twoja sprawa, ty stary zardzewiały skoblu – myślał. – Twoja rzecz to suflerka, jeśli nie chcesz oberwać po karku jak ostatni lokaj. Ale swoją drogą to oburzające! Rude chłopaczysko nie umie grać po ludzku! Czyż tę partię można tak wypowiadać?”

I wpijając się oczami w aktora, baron znowu zaczął mamrotać swoje rady. Jeszcze raz nie wytrzymał i jeszcze raz zmusił publiczność do śmiechu. Ten dziwak był zbyt nerwowy. Kiedy aktor, wypowiadając ostatni monolog z drugiego aktu, zrobił małą pauzę, by w milczeniu pokiwać głową, z budki znowu dał się słyszeć głos, pełen żółci, pogardy, nienawiści, lecz – niestety! – już rozbity przez czas i bezsilny:

... O bezwstydnny łotrze!

Zakamieniały, krwawy, sprośny łotrze!

Milczał przez kilka sekund, po czym westchnął głęboko i dodał już nie tak głośno:

Bodajżem! Mnież to przystoi, synowi,

Jednakowi zamordowanego...

Ten głos byłby głosem prawdziwego Hamleta, nie rudego Hamleta – gdyby nie było na ziemi starości. Starość tak bardzo przeszkadza, tak wiele niweczy.

Biedny baron! Zresztą nie on pierwszy, nie on ostatni.

Teraz wyrzucą go z teatru. Zgodzisz się chyba, czytelniku, że to jest konieczne.

Przełożyła Zofia Kaczorowska

¹¹ *Paradyż* - przest. najwyższa kondygnacja w teatrze z najtańszymi miejscami, „jaskółka”, galeria.

KRYTYK

Stary, zgarbiony „szlachetny ojciec” z krzywą brodą i malinowym nosem spotkał w bufecie jednego z prywatnych teatrów swego starego przyjaciela dziennikarza.

Po zwykłych słowach powitania, pytaniach i westchnieniach szlachetny ojciec proponuje mu wypić po jednym małym.

– Czy warto? – krzywi się dziennikarz.

– Nie szkodzi, wypijemy. Ja też, bracie, nie piję, ale toć tu dają naszej braci aktorskiej zniżkę, prawie za pół ceny – nawet jak nie chcesz, musisz wypić. Chodźmy!

Przyjaciele zbliżają się do bufetu i piją.

– Napatrzyłem się na wasze teatry. Miernota, co tu gadać – burczy szlachetny ojciec uśmiechając się sardonicznie. Merci, nie przypuszczałem. I to nazywa się stolica, centrum sztuki! Aż wstyd patrzeć.

– W Aleksandrynce pan był? – pyta dziennikarz.

Szlachetny ojciec pogardliwie macha ręką i uśmiecha się złośliwie. Jego malinowy nos marszczy się wydając jakiś chichotliwy dźwięk.

– Byłem – odpowiada jakby od niechcienia.

– No i co? Podobało się?

– Tak, budynek podoba się. Od zewnątrz piękny teatr, nie będę się spierał, ale o ile chodzi o artystów – to daruj. Może to nawet dobrzy ludzie, może geniusze, Dideroty, ale z mego punktu widzenia to mordercy sztuki i tyle. Gdyby to było w mojej mocy, wysiedliłbym ich z Petersburga. Kto tu u was nad nimi najważniejszy?

– Potiechin.

– Hm... Potiechin. A cóż to za antreprenier¹²? Ani figury, ani pozoru prezencji, ani głosu. Antreprenier, czyli dyrektor, taki prawdziwy, powinien mieć wygląd, solidność, powagę, żeby cała trupa to czuła. Trupę trzeba trzymać w garści, o tak!

Szlachetny ojciec wyciąga przed siebie zaciśniętą pięść, a usta jego wydają jakiś dźwięk pochlipujący, jak smażące się masło.

– O tak! A tyś myślał, że niby jak? Naszej braci aktorskiej, osobliwie tej młodszej, nie można popuszczać. Trzeba, żeby rozumiała i czuła, co to za człowiek. Jeżeli, na przykład, antreprenier zacznie mówić „per pan”, po główce głaskać, to zaraz to bractwo siądzie mu na karku. Nieboszczyk Sawwa Tryfonycz, może pamiętasz, bywało, z tobą za pan brat, jak z równym sobie, ale gdy chodziło o sztukę – to grom i błyskawica! Albo cię, bywało, karą po-gnębi, albo osromoci przed całą publiką, albo tak cię złaje, że potem ze trzy dni będziesz pluł. A czyż Potiechin tak potrafi? Ani siły w nim nie ma, ani prawdziwego głosu. Nie tylko tragicz czy rezoner, ale najpośledniejszy figurant ze świty Fortynbrasa nie złęknie się... Chyba wypić jeszcze po jednym, co?

– Czy warto? – krzywi się dziennikarz.

¹² *Antreprenier* (z fr.) - impresario, organizator lub właściciel przedsięwzięcia teatralnego.

– Ano, prawdę rzekłszy, pić przed nocą jakoś nie tego... ale nasza brać... ze zniżką – grzech byłoby nie wypić.

Przyjaciele piją.

– Jednakże, jeśliby spojrzeć bez uprzedzeń, to nasza trupa całkiem niczego – powiada dziennikarz zagryzając czerwoną kapustą.

– Trupa? Hm... Niczego... ani słowa... Nie, bracie, teraz wyginęli w Rosji dobrzy aktorzy. Wszyscy co do jednego.

– No, zaraz już co do jednego! Nie mówiąc już o Rosji, ale nawet u nas w Pitrze dobrzy się znajdują. Na przykład Swobodin.

– Swo–bo–din? – pyta szlachetny ojciec i przerażony cofa się w tył i załamuje ręce. – A czyż to aktor? Ale bójże się Boga, czyż takie coś można nazwać aktorem? To dyletant!

– Ale jednak...

– Co za „jednak”. Gdybym miał władzę, to bym twego Swobodina z Petersburga wysiedlił. Czyż tak można grać, co? Czyż można? Zimny, oschły, ani kropli uczucia, bezbarwny, bez cienia ekspresji. Nie, chodźmy jeszcze golnąć. Nie mogę. Duszno!

– Nie, bracie, daruj... nie mogę pić więcej!

– Ja funduję! Nasza brać ze zniżką, nawet nieboszczyk by wypił. Ludzie po dziesięć kopiejek płacą, a my piątaka. Taniej niż barszcz.

Przyjaciele piją, przy czym dziennikarz kiwa głową i chrząka tak zdecydowanie, jakby postanowił zginać za prawdę.

– Gra on nie sercem, lecz rozumem – ciągnie szlachetny ojciec. – Prawdziwy aktor gra nerwami, każdą strunką duszy, a ten bębni, jakby z gramatyki czy też elementarza. I dlatego jest monotony. We wszystkich rolach taki sam!... Choćbyś nie wiem w jakim sosie podawał szczupaka, zawsze to szczupak. Tak to już, bratku... A pozwól mu grać w melodramacie lub tragedii, to zobaczysz jak się skuli. W komedii zagrać nie sztuka, ale, bratku, spróbuj w melodramacie albo w tragedii. Dlaczego u was melodramatów nie wystawiają? Boją się! Nie mają ludzi! Wasz aktor nie umie ani ubrać się, ani wykrzyknąć, ani przybrać odpowiedniej pozy.

– Zaczekaj, jednakowoż jakie to dziwne... Jeśli Swobodin nie jest talentem, to jest przecież jeszcze Sazonow, Dałmatow, był Petitpas, w Moskwie Kisielewski, Gradow–Sokołow, a na prowincji Andriejew–Burlak...

– Przepraszam cię, ja z tobą mówię poważnie, a ty tu żarty stroisz – obraża się szlachetny ojciec. – Jeżeli twoim zdaniem to są artyści, to już nawet nie wiem, czy warto z tobą mówić. Bo czyż to aktorzy? Najprawdziwsze miernoty! Szarża, przesada, nuda – nic więcej. Gdybym tak miał władzę, tobym im wszystkim nie pozwolił zbliżyć się do teatru na odległość armatniego strzału! Aż mi się wszystko w środku wywraca, gotówem ich wyzwać na pojedynek! Zlituj się, czyż to aktorzy? Kiedy umierają na scenie, to takie ci odwalają miny, że na galerii wszyscy pokładają się ze śmiechu. Onegdaj proponowano mi spotkanie z Warłamowem, ale – za nic!

Szlachetny ojciec groźnie wytrzeszcza oczy na dziennikarza i z gestem oburzenia mówi tonem tragika kipiącego pogardą:

– Jak sobie chcesz, ale ja wypiję jeszcze!

– Ależ... po co? Już dosyć.

– No i czego się krzywisz?... Przecież – zniżka! Ja też nie piję, ale jak tu nie wypić, jeżeli...

Przyjaciele piją i przez chwilę spoglądają na siebie otepiałym wzrokiem, przypominając zgubiony wątek.

– Oczywiście, każdy ma własne poglądy – mamrocze dziennikarz – trzeba jednak być bardzo stronnictwym i zaciętrzewionym, aby nie przyznać, że na przykład Goriewa...

– Rozdmuchali! – przerywa szlachetny ojciec. – Bryła lodu! Utalentowana ryba! Cirlich–manirlich! Talencik – owszem, nie będę się spierał, ale brak ognia, temperamentu, tego, wiesz, pieprzyka! Bo cóż to właściwie jej gra? Porcja orzechowych lodów! Wodnista

pieprzyka! Bo cóż to właściwie jej gra? Porcja orzechowych lodów! Wodnista lemoniada! Kiedy gra, znającemu się widzowi osiada na brodzie szron! W ogóle w Rosji już nie ma prawdziwych aktorek... nie ma! Nawet w dzień ze świecą nie znajdziesz... A jeśli się nawet zdarzają talenciki, to szybko marnieją przy obecnym kierunku... I aktorów też nie ma!... Weźmy, na przykład, waszego Pisariewa... Cóż to jest?

Szlachetny ojciec cofa się o krok i ze zdumieniem wytrzeszcza oczy.

– Cóż to jest? Czy to aktor? Nie... powiedz mi z ręką na sercu: czy to jest aktor? Czyż można go puścić na scenę? Wykrzykuje jakimś dzikim głosem, hałasuje, wymachuje bez sensu rękami... Nie ludzi powinien przedstawiać, lecz przedpotopowe ichtiozaury i mamuty... Tak! – Szlachetny ojciec wali pięścią w stół i wykrzykuje: – Tak!

– No, no... ciszej! – uspokaja go dziennikarz. – Nie wypada, wszyscy patrzą...

– Tak nie można, bracie kochany! To żadna gra! To nie sztuka! To jest wprost, za przeproszeniem, mordowanie sztuki! Spójrz tylko na Sawinę!... Cóż to jest? Talentu – ani za grosz, tylko udana dziarskość i swawolność, której nie można tolerować na poważnej scenie! Patrzysz na nią – i po prostu ogarnia cię przerażenie: gdzie jesteśmy, dokąd idziemy? Ku czemu zmierzamy? Zgi–i–nęła sztuka!

Przyjaciele milczą, potem porozumiawszy się, widać dzięki biskopizmowi, zbliżają się do bufetu i piją.

– Ty, ty już zbyt su–surowo – jąka się dziennikarz.

– N–nie mogę inaczej... Jestem klasyk. Hamleta grywałem i żądam, żeby święta sztuka była sztuką... Jestem stary. W porównaniu ze mną to szcze–szczeniaki... Zaprzepaścili rosyjską sztukę! Tak! Na przykład moskiewska Fiedotowa czy Jermołowa. Obchodzą jubileusze, a cóż dobrego działy dla sztuki? Co? Zepsuły tylko smak publiczności. Czy też, dajmy na to, ten zachwalany aktor moskiewski Lenski czy Iwanow–Kozielski... Jakież z nich talenty? Rozdmuchane. Cóż tam oni rozumieją, do licha. Przecież do tego, żeby grać nie wystarczą tylko chęci. Potrzebne są również zdolności, iskra Boża. Chyba wypijemy jeszcze po ostatnim, co?

– Przecież przed chwilą pi–piliśmy.

– No, niech tam. Ja funduję. Nasza brać ze zniżką, wiele nie przepijesz.

Przyjaciele piją znowu. Czują już, że siedzieć jest znacznie wygodniej, niż stać, więc lokują się przy stoliku.

– Albo weźmy poniekórych pozostałych... – mamrocze szlachetny ojciec. – Po prostu nie-szczęście i hańba rodzaju ludzkiego. Poniekóry nawet dwudziestu lat nie ma, a już zepsuty do szpiku kości... Młody, zdrowy, przystojny, a chce grać jakiegoś tam Swistulkina albo Piszczaloczki, żeby tylko co łatwiejsze, żeby się przypodobać galerii, nawet nie marzą o tym, żeby zabrać się do ról klasycznych. A za naszych czasów, bracie, Hamleta grał każdy aktor... Przypominam sobie, jak to w Smoleńsku nieboszczyk sufler Waśka z powodu choroby aktora wystąpił w roli kardynała Richelieu... Myśmy poważnie sztukę traktowali, nie tak jak dzisiaj... Pracowaliśmy... Bywało, w święta rankiem króla Leara odstawiasz, a wieczorem Coverleya odbębnisz i to tak, że teatr aż trzeszczy od oklasków.

– Nie, ale przecie i teraz trafiają się dobrzy aktorzy. Na przykład w Moskwie u Korsza, Dawydow – paluszki lizać! Widziałeś? Gigant! Ko–kolos!

– Pss... Zresztą, niczego sobie... niegorszy aktor... Tylko, bracie, szlifu nie ma, szkoły... A dać by go dobremu antreprenierowi, wyuczyć go, jak należy – uch, jakież by wyszedł aktor! A teraz bezbarwny... ni to, ni owo... Nawet zdaje mi się, że nie ma talentu. Ta–ak, roz–rozdmuchali, przesada. P–nie starszy! Daj no tu dwa kieliszki czystej! Żywo!

Długo jeszcze mamrocze szlachetny ojciec. Ze zniżki w bufecie korzysta do chwili, aż ma-linowe zabarwienie z nosa rozplywa się po całej twarzy, a lewe oko dziennikarza zaczyna się samo zamykać. Twarz jego jest jak przedtem surowa, stężała w sardonicznym uśmiechu, głos brzmi głucho, jak z grobu, oczy spoglądają z nieubłaganą złością. Lecz nagle twarz, szyja a

nawet pięści szlachetnego ojca zalewa zorza błęgiego leciutkiego jak puch uśmiechu. Tajemniczo mrugając pochyla się do ucha dziennikarza i szepcze:

– Żeby tak wykurzyć z waszej Aleksandryнки Potiechina, żeby tak całą jego trupę fiu–ut! Żeby stworzyć nową trupę, prawdziwą, nie rozbałamuconą, żeby tak poszukać w Riazaniach i Kazaniach takiego antreprenera, żeby tak, wiesz, umiał trzymać w garści.

Szlachetny ojciec aż zachłystuje się i rozmarzony ciągnie patrząc na dziennikarza:

– Żeby tak wystawić *Śmierć Ugolina* i *Belizariusza* albo odwalić choćby tego potępieńca Otella, albo też machnąć, wiesz, *Ograbioną pocztę*, a zobaczyłbyś, jaką bym miał kasę! Przekonałbyś się, co to jest prawdziwa gra i talent!

Przełożyła Irena Bajkowska

DWA SKANDALE

– Źle, do diabła! Jeżeli te kozły– tenory nie przestaną fałszować, to wyjdę natychmiast. Ruda niech patrzy w nuty! Ta, trzecia z prawej strony, ruda – do pani mówię! Skoro pani nie umie śpiewać, to po kiego diabła pchać się na scenę z tym wronim krakaniem? Zaczynać od początku!

Krzyczał tak i walił w partyturę dyrygencką pałeczką. Tym kudłatym panom dyrygentom wiele wybacza się, zresztą nie sposób inaczej. Przecież kiedy posyła was do diabła, złorzeczy i rwie sobie włosy, to tym samym staje w obronie świętej sztuki, z której nikt nie śmie żartować. Stoi na jej straży i gdyby nie on, któż z nich nie wyrzuciłby w powietrze tych ohydnych półtonów, które co chwila gotowe są rozstroić i zabić harmonię? To on strzeże harmonii i za nią gotów jest powiesić cały świat i sam się powiesić. Nie można się na niego gniewać. Gdyby stawał we własnej obronie, to co innego!

Lwia część jego gorzkiej i pieniającej się żółci przypadła w udziale rudej dziewczynie, trzeciej na prawym skrzydle. Gotów był ją połknąć, wepchnąć pod ziemię, połamać i wyrzucić przez okno. Ruda fałszowała najbardziej, więc pogardał nią i nienawidził najmocniej na świecie. Gdyby się zapadła pod ziemię, gdyby umarła tutaj, na jego oczach, gdyby umorusany lampkarz zapalił ją zamiast lampy albo zbił publicznie, on, dyrygent, nie posiadałby się ze szczęścia.

– A niechże panią diabli! Proszę wreszcie zrozumieć, że tyle się pani zna na muzyce i śpiewie, co ja na łowieniu wielorybów! Do pani mówię, rudzielcze! Niechże jej ktoś wyjaśni, że to nie „fa dis”, ale samo „fa”! Nauczcie nut tego nieuka! No, niech pani śpiewa sama! Proszę zaczynać! Drugie skrzypce, do diabła z tym nie smarowanym smyczkiem!

Ona zaś, osiemnastoletnia dziewczyna, stała, patrzyła w nuty i drżała jak struna, którą mocno szarpnięto palcem. Jej drobną twarzyczkę co chwila oblewała łuna. W oczach lśniły łzy, gotowe w każdej chwili stoczyć się na znaczki muzyczne o czarnych szpilkowych główkach. Byłaby szczęśliwa, gdyby jedwabiste złote włosy, opadające jak kaskada na ramiona, mogły ukryć jej twarz przed ludźmi.

Pierś jej wzdymała się pod sznurówką niczym fala. W opiętej piersi aż kotłowało się od straszliwych uczuć: smutek, wyrzuty sumienia, pogarda dla siebie, strach... Biedna dziewczyna czuła się winna, wyrzuty sumienia szarpały jej trzewia. Zawiniła wobec sztuki, dyrygenta, kolegów, orkiestry, a z pewnością zawini wobec publiczności... Po tysiącokroć będą mieli rację, jeżeli ją wygwizdzą. Bała się spojrzeć na ludzi, była pewna, że wszyscy patrzą na nią z nienawiścią i pogardą... A przede wszystkim on! On gotów jest cisnąć ją na kraj świata, jak najdalej od swych muzykalnych uszu.

„Boże, spraw, żebym śpiewała, jak należy!” – myślała – i w jej silnym drżącym sopranie słychać było nutkę rozpacz.

Nie chciał zrozumieć tej nutki, lecz kłął i szarpał swe długie włosy. Gwizdać na czyjeś tam cierpienia, skoro wieczorem jest spektakl!

– To już ponad siły! Ta dziewczyna zamorduje mnie dziś swym kozłim beczeniem! Nie primadonna z pani, ale praczka! Odbierzcie tej rudej nuty!

Ruda dziewczyna rada by śpiewać jak najlepiej, nie fałszować... Przecież umiała nie fałszować, przecież była mistrzem w swoim zawodzie. Ale czyż to jej wina, że oczy są jej nieposłuszne? Te oczy, te ładne, lecz niesumienne oczy, które przeklinać będzie do samej śmierci, te oczy zamiast patrzeć w nuty i śledzić ruchy pałeczki dyrygenta, wpatrywały się w jego oczy, w jego włosy... Jej oczy upodobały sobie rozwichrzone włosy i oczy dyrygenta, z których sypały się na nią iskry, które napawały ją strachem. Biedna dziewczyna zapamiętała kochała chmurną twarz, przez którą przebiegały błyskawice. Czyż to jej wina, że miał cała życie pograć się w próbie, jej mały mózg myślał o innych sprawach, które przeszkadzają w pracy, w życiu, odbierają spokój...

Oczy jej kierowały się ku nutom, z nut przebiegały na pałeczkę dyrygenta, z pałeczki na jego biały krawat, podbródek, wąsiki i tak dalej...

– Odbierzcie jej nuty! Chyba jest chora! – krzyknął wreszcie dyrygent. – Przerywam próbę!

– Tak, jestem chora – wyszeptala pokornie, gotowa po stokroć błagać o przebaczenie...

Zwolniono ją do domu i jej miejsce na spektaklu zajęła inna, która miała głos gorszy, ale za to umiała krytycznie oceniać swą pracę, śpiewać uczciwie, sumiennie, nie myśląc o białym krawacie i wąsikach.

Ale i w domu nie dawał jej spokoju. Przyjechawszy z teatru dziewczyna rzuciła się na łóżko. Schowała głowę pod poduszkę, ale i tam widziała jego fizjonomię, wykrzywioną gniewem. Zdawało się jej, że swą pałeczką smaga ją po skroniach. Ten zuchwalec był jej pierwszą miłością.

A pierwsze koty za płoty!

Nazajutrz po próbie odwiedzili ją koledzy z teatru, dopytując się o zdrowie. Gazety i afisze powiadały o jej chorobie. Przyjechał także dyrektor teatru i reżyser; każdy z nich wyraził pełne uszanowania współczucie. Przyjechał także on.

Kiedy nie stoi na czele orkiestry i nie patrzy w partyturę, jest zupełnie innym człowiekiem. Zachowuje się uprzejmie, przyjaźnie, z szacunkiem, jak młody chłopiec. Na twarzy jego widnieje pełen szacunku, słodziutki uśmiech. Nie tylko nie posyła do diabła, ale nawet nie śmie w obecności dam palić czy zakładać nogi na nogę. Wówczas trudno jest znaleźć człowieka lepszego i porządniejszego.

Przyjechał z twarzą bardzo zatroskaną i powiedział, że choroba jej to wielkie nieszczęście dla sztuki, że koledzy i on sam gotowi są zrobić wszystko, by tylko „notre petit rossignol”¹³ był zdrowy i spokojny. Ach, te choroby! Jak wiele traci przez nie sztuka! Trzeba powiedzieć dyrektorowi, że jeśli na scenie po dawnemu będą przeciągi, to nikt nie zgodzi się pracować, wszyscy odejda. Zdrowie jest najdroższe ze wszystkiego na świecie! Gorąco potrząsnął jej rączką, westchnął szczerze, prosił o pozwolenie odwiedzenia jej jeszcze raz i odjechał przeklinając choroby.

Dobry chłop! Ale za to kiedy już powiedziała, że jest zdrowa, i wróciła na scenę, znowu posłał ją „do najczarniejszego” diabła i znowu przez twarz jego przebiegały błyskawice.

W gruncie rzeczy to człowiek bardzo porządny. Kiedyś stała za kulisami, wsparta na krzaku różanym o drewnianych kwiatach, i śledziła jego ruchy. Gdy patrzyła na niego, z zachwytem aż zapierało jej dech. Stał za kulisami i śmiejąc się do rozpuku pił szampana z Mefistofelem i Walentym. Z jego ust, które zwykły posyłać do wszystkich diabłów, teraz sypały się dowcipy. Po wypiciu trzech szklanek odszedł od śpiewaków i skierował się ku orkiestrze, która stroiła już skrzypce i wiolonczele. Przeszedł obok niej promieniejący, uśmiechając się i wymachując rękami. Twarz jego tchnęła zadowoleniem. Kto ośmieli się powiedzieć, że jest złym

¹³ *Notre petit rossignol* (fr.) - nasz słowiczek.

dyrygentem? Nikt! Zaczerwieniła się i uśmiechnęła do niego. Zatrzymał się przy niej, podchmielony, i zaczął mówić:

– Rozkleiłem się – rzekł – mój Boże! Tak mi jest dziś dobrze! Cha, cha! Wszyscy jesteście dziś tacy mili! Pani ma cudne włosy! Boże, jak to się stało, że dotychczas nie zauważyłem, że ten słowik ma tak cudną grzywę?

Pochylił się i pocałował jej ramię, na które spływały włosy.

– Rozkleiłem się przez to przekłete wino... Najmilszy mój słowiku, prawda, że nie będziemy się już mylić? Będziemy śpiewać uważnie? Dlaczego pani tak często fałszuje? Przecież dawniej to się pani nie przytrafiało, moja złotowłosa!

Dyrygent całkiem rozkleił się i ucałował jej rękę. Teraz i ona także zaczęła mówić:

– Niech pan mnie nie beszta... Przecież ja... ja... Pan mnie zabija swym beszowaniem... Nie zniosę tego... Przysięgam!

Łzy stanęły jej w oczach. Bezwiednie oparła się o jego łokieć i niemal zawisła na nim.

– Przecież pan nie wie... Pan jest taki niedobry. Przysięgam...

Usiadł na krzaku i omal z niego nie spadł... Aby nie spaść, chwycił ją wpół.

– Dzwonek, moja maleńka, Do następnego antraktu!

Po przedstawieniu wracała do domu nie sama. Jechał z nią pijany, śmiejący się ze szczęścia – *on!* Jakże była szczęśliwa! Mój ty Boże! Wracała w jego ramionach i nie wierzyła swemu szczęściu. Zdawało jej się, że los ją okłamuje! Ale cokolwiek tam było, przez cały tydzień publiczność czytała na afiszach, że dyrygent i jego *ona* chorują... Nie wychodził od niej przez cały tydzień, i te dni wydały się im obojgu jedną chwilą. Dziewczyna wypuściła go od siebie dopiero wówczas, gdy nie wypadało już ukrywać się przed ludźmi i nie wypadało nic nie robić.

– Trzeba przewietrzyć naszą miłość – rzekł dyrygent siódmego dnia. – Stęskniłem się za swoją orkiestrą.

Ósmego dnia już machał pałeczką i posyłał do diabła wszystkich, nie wyłączając nawet „rudej”.

Te kobiety kochają jak kotki. Kiedy moja bohaterka połączyła się i zamieszkała ze swym postrachem, nie poniechała swych głupich nawyków. Po dawnemu zamiast patrzeć w nuty i na pałeczką dyrygenta, patrzyła na jego krawat i twarz... Na próbach i przedstawieniach nieustannie fałszowała, i to jeszcze bardziej niż przedtem. Ależ dostawało się jej za to! Dawniej beształ ją tylko na próbach, teraz zaś mógł robić to w domu, po przedstawieniu, stojąc nad jej łóżkiem. Okropnie sentymentalna dziewczyna! Wystarczyło, żeby śpiewając spojrzała na ukochaną twarz, a już spóźniła się o całe ćwierć taktu albo głos jej zadrżał. Kiedy śpiewała, patrzyła na niego ze sceny, kiedy nie śpiewała, stała za kulisami i nie odrywała wzroku od jego długiej postaci. W czasie antraktów spotykali się w ubieralni, gdzie razem pili szampana i wyśmiewali jej adoratorów. Kiedy orkiestra grała uwerturę, stała na scenie i patrzyła na niego przez mały otwór w kurtynie. Zazwyczaj aktorzy patrząc przez ten otwór wyśmiewają łysiny z pierwszego rzędu albo według ilości dostrzeżonych głów starają się określić stan kasy.

Otwór w kurtynie zrujnował jej szczęście. Był przyczyną skandalu.

Razu pewnego w zapusty, kiedy teatr był najbardziej wypełniony, grano *Hugonotów*. Kiedy dyrygent przed rozpoczęciem przeciskał się między pulpitemi ku swemu miejscu, ona stała już przy kurtynie i patrzyła przez otwór chciwie, z zamierzającym sercem.

Dyrygent zrobił kwaśno-poważną minę i na wszystkie strony zaczął wymachiwać pałeczką. Zagrano uwerturę. Jego ładna twarz zrazu była stosunkowo spokojna. Potem, kiedy uwertura dobiegała połowy, po jego prawym policzku zaczęły przebiegać błyskawice, zmrużyło się prawe oko. Z prawej strony dochodziło go zamieszanie: sfalszował tam flet i za wcześnie zakasłał fagot. Kaszel niekiedy przeszkadza rozpocząć we właściwym momencie. Po chwili

zaczerwienił się lewy policzek dyrygenta – przebiegł po nim skurcz. Ileż jest ruchu i ognia w tej twarzy! Patrzyła na niego i czuła się w siódmym niebie, u szczytu szczęśliwości.

– Wiolonczela, do stu diabłów! – mamrotał przez zęby szybko, ledwie dosłyszalnie.

Ta wiolonczela rozumie nuty, ale nie chce rozumieć duszy! Czy można powierzyć ten subtelny, miękki instrument rękom człowieka, który nie czuje? Przez twarz dyrygenta przebiegły drgawki, wolna ręka gwałtownie chwyciła za pulpit, jak gdyby pulpit był winien temu, że gruby wiolonczelista gra tylko dla pieniędzy, że nie muzyka jest potrzebą jego duszy!

– Precz ze sceny! – rozległo się gdzieś w pobliżu.

Nagle twarz dyrygenta rozpromieniła się; rozjaśniło ją szczęście. Usta uśmiechnęły się. Pierwsze skrzypce po mistrzowsku zagrały jedną z najtrudniejszych fraz. A to jest miłe sercu dyrygenta. Mojej rudowłosej bohaterce zrobiło się błogo na duszy, jak gdyby sama grała na pierwszych skrzypcach albo miała w piersi dyrygenckie serce. Ale serce to nie było dyrygenckie, choć siedział w nim dyrygent. „Ruda diabolica” patrząc na uśmiechniętą twarz dyrygenta zaczęła się uśmiechać... Ale nie był to czas na śmiechy. Stało się coś nadprzyrodzonego, okropnie głupiego...

Niespodziewanie sprzed jej oczu znikł otwór. Gdzie się podział? U góry zaszumiło coś, jak gdyby powiał równy wiatr...

Po twarzy jej pełzło coś ku górze... Co się stało? Zaczęła szukać okiem otworu, aby zobaczyć ukochaną twarz, ale zamiast otworu ujrzała nagle masę światła bijącego z głębi i z góry... W masie światła wirowało niezliczone mnóstwo blasków i głów, a pośród tych różnorodnych głów dostrzegła głowę dyrygenta... Głowa dyrygenta zwróciła się ku niej: spojrzał na nią i zamarł ze zdumienia. Potem zdumienie ustąpiło miejsca nieopisanemu przerażeniu i rozpacz... Dziewczyna bezwiednie zrobiła pół kroku ku rampie... Z drugiego piętra doleciał ją śmiech i wkrótce cały teatr utonął w nie kończących się wybuchach śmiechu i sykania. A niech to diabli! W *Hugonotach* będzie śpiewać dama w jak najbardziej nowoczesnych rękawiczkach, kapeluszu i sukni!...

– Cha, cha, cha!

W pierwszym rzędzie poruszyły się roześmiane łysiny... Wszczął się tumult... A jego twarz postarzała się, zmarszczyła niczym twarz Ezopa! Zionęła nienawiścią i przekleństwami... Tupnął nogą i cisnął pod nogi swą dyrygencką pałeczkę, której nie zamieniłby na marszałkowską buławę. Orkiestra przez sekundę grała coś niedorzecznego i umilkła... Ruda cofnęła się i chwiejąc się spojrzała w bok... Były tam kulisy, zza których spoglądały na nią blade, wściekle pyski... Te zwierzęce pyski syczały...

– Pani nas zgubiła! – syczał impresario.

Kurtyna zaczęła pełznąć w dół wolno, falując, niepewnie, jak gdyby opuszczano ją nie tam, gdzie należy... Śpiewaczka zachwiała się i oparła o kulisę...

– Gubisz mnie, rozpustna wariatko... ach, żeby cię diabli, najpodlejsza gadzino!

To mówił głos, którzy przed godziną, kiedy się ubierała przed wyjściem do teatru, szeptał jej: „Ciebie, moja maleńka, trudno nie kochać! Jesteś moim dobrym geniuszem! Twój pocałunek wart jest raj Mahometa!” A teraz? Jest zgubiona, słowo honoru, zgubiona!

Kiedy w teatrze przywrócono porządek i wściekły dyrygent zabrał się po raz drugi do uwertury – „ruda” była już w domu. Szybko rozebrała się i wśliznęła pod kołdrę. Umierać na leżąc nie jest tak strasznie, jak stojąc czy siedząc, ona zaś była pewna, że ją zabiją wyrzuty sumienia i rozpacz... Schowała głowę pod poduszkę i dygocząc, bojąc się myśleć, dusząc się ze wstydu, miotała się pod kołdrą... Kołdra pachniała cygarami, które palił *on*... Co powie jej, kiedy przyjdzie?

O trzeciej w nocy przyszedł. Był pijany. Upił się z rozpacz i wściekłości. Nogi się pod nim ugięły, ręce i wargi drżały niczym liście na słabym wietrze. Nie zdejmując futra ani kapelusza podszedł do łóżka i stał przez minutę milcząc. Ona wstrzymała oddech.

– Po tym, jak okryliśmy się hańbą na cały świat, możemy spać spokojnie! – zasyczał. – My, prawdziwi artyści, umiemy pogodzić się z własnym sumieniem! Prawdziwa artystka! Cha! cha! cha! Wiedźma!

Zerwał z niej kołdrę i cisnął pod kominek.

– Wiesz, coś ty zrobiła! Zakpiłaś ze mnie, żeby cię diabli! Rozumiesz czy nie? Wstawaj!

Szarpnął ją za rękę. Usiadła na brzegu łóżka i skryła twarz w splątanych włosach. Ramiona jej drżały.

– Przebacz mi!

– Cha! cha! Ruda!

Szarpnął ją za koszulę i ujrzał białe jak śnieg, cudne ramię. Ale teraz nie obchodziły go ramiona.

– Precz z mego domu! Ubieraj się! Zatrąłeś mi życie, niktzemna.

Podeszła do krzesła, na którym piętrzyło się w nieładzie jej ubranie, i zaczęła się ubierać. Ona zatrąła mu życie! To jest podłe i niktzemne z jej strony, że zatrąła życie temu wielkiemu człowiekowi! Odejdzie, aby nie zatrąwać go tą podłością! I bez niej są przecież ludzie, którzy zatrąwiają życie...

– Precz stąd! Natychmiast!

Cisnął jej w twarz bluzkę i zgrzytnął zębami. Ubrała się i stanęła przy drzwiach. Umilkł. Ale milczenie nie trwało długo. Dyrygent chwiejąc się wskazał jej drzwi. Wyszła do przedpokojku. Otworzył drzwi na ulicę.

– Precz, ohydo!

Chwycił ją za szczupłe ramiona i wypchnął...

– Żegnaj! – szepnęła głosem pełnym skruchy i zniknęła w ciemności.

Było mgliście i zimno... Mżył drobny deszczyk...

– Do diabła! – krzyknął za nią dyrygent i zamknął drzwi nie przysłuchując się jej człapaniu po błocie. Wyгнаwszy przyjaciółkę w zimną mgłę, ułożył się w ciepłym łóżku i usnął.

– Zasłużyła na to! – rzekł obudzony się rankiem, ale... kłamał! W jego muzykalnej duszy wrzało, tęsknota za rudą ścisnęła serce. Przez tydzień chodził na pół przytomny, cierpiący, pełen oczekiwania, dręczony niepewnością. Myślał, że wróci, wierzył w to... Ale nie wróciła. Zatrąwanie życia człowiekowi, którego kochała ponad życie, nie należało do jej programu. Skreślono ją z listy artystów teatru za „nieprzystojne zachowanie”. Nie wybaczone jej skandalu. Nie zawiadomiono o zwolnieniu, gdyż nikt nie wiedział, gdzie zginęła. Nie wiedziano nic, ale różne były przypuszczenia...

„Zamarzła albo utopiła się!” – myślał dyrygent.

Po upływie pół roku zapomniano o niej. Zapomniał o niej także dyrygent. Każdy przystojny artysta ma na sumieniu wiele kobiet, trzeba by mieć nie lada pamięć, aby pamiętać o każdej.

Jeśliby wierzyć ludziom cnotliwym i nabożnym, każdego na tym świecie dosięgnie kara. Czy poniósł karę dyrygent?

Tak.

Po pięciu latach dyrygent przejeżdżał przez miasto X. W mieście X jest doskonała opera i dyrygent zatrzymał się na cały dzień, by poznać jej zespół. Zatrzymał się w najlepszym hotelu i tegoż ranka otrzymał list, który świadczył najdobitniej, jaką popularnością cieszył się mój długowłosy bohater. W liście owym proszono, aby zechciał dyrygować orkiestrą w *Fauście*. Dyrygent N. zachorował niespodziewanie, pałeczka dyrygenta jest wolna. Czy nie zechciałby mój bohater (proszono w liście) podjąć ten trud i, korzystając z okazji, mistrzostwem swym uszczęśliwić niezwykle muzykalnych obywateli miasta X? Bohater mój wyraził zgodę.

Ujął pałeczkę i „obcy” muzycy ujrzeli twarz z błyskawicami i chmurami. A błyskawic było wiele. Nic dziwnego: próba nie odbyła się, trzeba było zaczynać bez próby – popisywać się swym mistrzostwem od razu na przedstawieniu.

Pierwszy akt minął szczęśliwie. Tak samo drugi. Ale podczas trzeciego aktu zdarzył się mały skandal. Dyrygent nie ma zwyczaju patrzeć na scenę czy też gdzie indziej. Cała jego uwaga skupiona jest na partyturze.

Kiedy w trzecim akcie Małgorzata – piękny silny sopran – zaśpiewała pieśń przy kołowrotku, uśmiechnął się z zadowoleniem: pani śpiewała pięknie. Ale kiedy ta sama pani spóźniła się o jedną ósmą taktu, po twarzy jego przebiegły błyskawice i spojrzał na scenę z nienawiścią. Ale już skończyły się błyskawice! Ze zdumienia szeroko otworzył usta, oczy zrobiły się wielkie jak u cielaka.

Na scenie przy kołowrotku siedziała ta „ruda”, którą wypędził ongi z ciepłego łóżka, którą wypchnął w ciemną, zimną mgłę. Przy kołowrotku siedziała ona, „ruda”, ale już nie ta, którą wypędził, inna. Twarz była ta sama, ale głos i postawa inne.

Była piękniejsza, miała więcej wdzięku, więcej śmiałości w każdym ruchu.

Dyrygent otworzył usta i zbladł. Pałeczka jego wykonała nerwowy ruch, zachybotwała, zadrgała na jednym miejscu i zamarła...

– To ona! – powiedział głośno i roześmiał się.

Zdziwienie, zachwyty i bezgraniczna radość owładnęły jego duszą. Jego „ruda”, którą wypędził, nie zginęła, stała się wielką artystką. Jakież to miłe dla dyrygenckiego serca. Jedna gwiazda więcej, toteż sztuka w jego osobie zachłystuje się z radości.

– To ona! Ona!

Pałeczka zamarła, a kiedy chcąc naprawić sytuację machnął nią, wypadła mu z ręki, uderzyła o podłogę... Pierwsze skrzypce spojrzały nań zdumione i pochyliły się, by podnieść pałeczkę. Wiolonczela pomyślała, że dyrygentowi zrobiło się słabo, więc umilkła i znowu zaczęła, lecz nie w takt... Dźwięki zakręciły się, zawirowały w powietrzu i szukając wyjścia z chaosu – skłębily się w straszliwy dysonans...

Ona, ruda Małgorzata, skoczyła i zmierzyła gniewnym spojrzeniem „tych pijaków”, którzy... Zbladła i oczy jej zatrzymały się na dyrygencie...

Publiczność, którą nigdy nic nie obchodzi oprócz tego, że zapłaciła pieniądze, zaczęła krzyczeć, gwizdać...

Na domiar wszystkiego, Małgorzata pisnęła na cały teatr i uniósłszy ręce, całym ciałem pochyliła się ku rampie... Poznała go i teraz nie widziała nic prócz błyskawic i chmur, które zjawily się znowu na jego twarzy.

– Ach, przeklęta gadzina! – krzyknął i uderzył pięścią w partyturę.

Co powiedziałby Gounod, gdyby ujrzął, jak znęcają się nad jego utworem! Gounod zabiłby dyrygenta i miałby rację!

Dyrygent omylił się po raz pierwszy w życiu, ale tej omyłki, tego skandalu nie darował sobie nigdy.

Wypadł z teatru z zakrwawioną dolną wargą i przybiegłszy do hotelu, zamknął się w pokoju. Przesiedział tam trzy dni i trzy noce, zajęty prawdopodobnie samobiczowaniem i samounicestwianiem.

Muzycy opowiadają, że osiwił w ciągu tych trzech dni i wyrwał sobie z głowy połowę włosów...

– Sponiewierałem ją! – płacze teraz, kiedy jest pijany. – Popsułem jej partię! Nie jestem dyrygentem!

Dlaczego nie powiedział tak wówczas, kiedy ją wypędzał?

Przełożyła Zofia Kaczorowska

MARI D'ELLE¹⁴

Noc przed świętami. Śpiewaczka operetkowa Natalia Andriejewna Bronina, z męża Nikitina, leży w swej sypialni pogrążona w wypoczynku. Drzemie słodko i myśli o swej małej córce, pozostawionej gdzieś daleko u babki czy ciotki... Ta dziewczynka jest jej droższa niż publiczność, bukiety, recenzje, wielbiciele... i chciałaby myślał być przy niej do samego rana. Jest szczęśliwa, spokojna i pragnie tylko jednego – aby nic nie przeszkodziło jej spokojnie się wylegiwać, drzemać, marzyć o córce.

Wtem śpiewaczka drgnęła; otwiera szeroko oczy: w przedpokoju zabrzmiał ostry, gwałtowny dzwonek. Nie mija dziesięć sekund, brzęczy drugi dzwonek, trzeci. Z hałasem otwierają się drzwi i do przedpokoju, tupiąc nogami jak koń, wchodzi ktoś parszkając i sapiąc.

– Do diabła! Nie ma gdzie powiesić futra! – słyszy artystka ochryply bas. – I to u słynnej artystki! Zarabia pięć tysięcy rocznie, a nie może sobie sprawić porządnego wieszaka!

„Mąż... – krzywi się śpiewaczka. – I, zdaje się, przyprowadził ze sobą na noc jeszcze kogoś ze swych przyjaciół... ohyda!”

Przepadł spokój. Kiedy w przedpokoju ucichło głośnie wycieranie nosa i ustawianie kaloszy, śpiewaczka słyszy w swej sypialni ostrożne kroki... To wszedł jej mąż, mari d'elle, Denis Pietrowicz Nikitin. Zalutuje od niego chłodem i koniakiem. Długo chodzi po sypialni, ciężko oddycha i potykając się w ciemności o krzesła czegoś szuka.

– Czego chcesz? – jęczy śpiewaczka, kiedy wreszcie ma dość tej grzebaniny. – Obudziłeś mnie.

– Szukam zapalek, duszko. Więc... więc nie śpisz? A ja ci przynoszę pozdrowienia. Kłania ci się ten... jak go tam?... rudzielec, ten co ci zawsze kwiaty przesyła. Zagwozdkin... Teraz właśnie byłem u niego.

– Po coś był u niego?

– Tak sobie... Siedzieliśmy, gadali, wypiliśmy. Jak sobie chcesz, Natalie, nie podoba mi się ten osobnik. Okropnie mi się nie podoba! Bałwan, jakich mało. Bogacz, kapitalista, ma z sześćset tysięcy, a wcale po nim tego nie znać. Pieniądze dla niego to jak rzepa dla psa. Sam nie żre i innym nie daje. Kapitałem trzeba obracać, a on go się trzyma, boi się z nim rozstać... A co za korzyść z leżącego kapitału? Leżący kapitał to trawa.

Mari d'elle namacuje brzeg łóżka i sapiąc siada u nóg żony.

– Leżący kapitał to szkodnik... – ciągnie. – Dlaczego w Rosji dzieje się coraz gorzej? Dlatego, że dużo jest leżących kapitałów, że ludzie boją się kredytu... Nie to, co w Anglii... W Anglii, bracie, nie ma takich frajerów, jak Zagwozdkin... Tam każda kopiejka jest w obrocie... Tak... Tam jej nie trzyma się w kufrach...

– To i dobrze. Spać mi się chce.

– Zaraz... O czym to ja mówiłem? Aha... Jak na dzisiejsze czasy, tego Zagwozdkina powieść – to mało... podlec i dureń... Dureń i tyle. Gdybym prosił go o pożyczkę bez gwarancji... ale nawet dziecko widzi, że tu nie ma żadnego ryzyka. Nie rozumie, osioł! Za dziesięć tysięcy – dostałby sto. Po roku miałby drugie sto. Prosiłem, tłumaczyłem... nie dał, bałwan!

¹⁴ *Mari d'elle* (fr.) - dosł.: jej mąż; tu: mąż znakomitości.

- Mam nadzieję, że nie prosiłeś o pożyczkę w moim imieniu!
- Hm... Dziwne pytanie... – obraża się mari d’elle. – W każdym razie dałby prędzej dziesięć tysięcy mnie niż tobie. Jesteś kobietą, a ja bądź co bądź mężczyzną, człowiekiem interesu. A jakież projekt mu przedstawiłem! Nie bańki mydlane, nie chimery jakiegoś, ale interes, rzeczowy! Gdyby się trafiło na człowieka ze zrozumieniem, to za sam pomysł dałby ze dwadzieścia tysięcy! Nawet ty byś zrozumiała, gdybym ci wytłumaczył, o co chodzi. Tylko, żebyś tego... nie wypaplała... ani mru–mru... Zresztą, zdaje się, już ci mówiłem. Mówiłem ci o kiszkach?
- Mm... potem...
- Zdaje się, że mówiłem... Rozumiesz, w czym rzecz? Teraz sklepy spożywcze i wędliniarnie skupują kiszki na miejscu po dużej cenie. Ale gdyby przywozić kiszki z Kaukazu, gdzie są za bezcen, gdzie je wyrzucają, to co, według ciebie? Od kogo wędliniarze będą kupować kiszki? Tutaj, w rzeźniach, czy ode mnie? Oczywiście, że ode mnie! Przecież ja będę sprzedawać dziesięć razy taniej! Teraz rozważajmy tak: corocznie w stolicach i innych miastach zakupuje się tych kiszek za... powiedzmy, pięćset tysięcy. To minimum. A jeżeli...
- Opowiesz mi jutro... Potem...
- Tak, prawda... Spać ci się chce, pardon... Zaraz pójde... Co tu mówić – z kapitałem, gdziekolwiek się ruszyć, wszędzie można zrobić interes. Z kapitałem to nawet na niedopałkach można zrobić milion... Weźmy chociażby wasz interes teatralny. Dlaczego na przykład zbankrutował Lentowski? Bardzo proste! Od samego początku sprawę źle poprowadził. Kapitału nie ma, a on prze na całego bez pamięci... Trzeba najprzód zagwarantować sobie kapitał, a potem pomalutku, ostrożniutko... Dziś można wspaniale dorobić się na teatrze prywatnym albo ludowym... Jeżeli się wystawia porządne sztuki i puści tanie bilety, trafi do gustu publiczności, to już w pierwszym roku można ze sto tysięcy wsunąć do kieszeni... Nie rozumiesz tego, ale ja ci to mówię... Bo i ty lubisz leżące kapitały, niczym ten błazen Zagwozdkin... Oszczędza i sama nie wie, po co... Nie słuchasz mnie, nie chcesz... Puściłabyś w obrót i nie musiałabyś się obijać po świecie Bożym... Przecież na pierwszy raz, żeby założyć prywatny teatr, wystarczyłoby pięć tysięcy... Oczywiście, nie tak jak Lentowski, ale skromnie... pomalutku... ostrożnie... Mam już impresaria, upatrzyłem już lokal... tylko nie ma pieniędzy... Gdybyś rozumiała, to dawno już rozstałabyś się z tymi swoimi obligacjami... pięcioprocentowymi... premiovymi...
- Nie, merci... Tyś mnie i tak dosyć skubał... Wystarczy już, jestem już ukarana...
- Jeżeli rozumować po babsku, to oczywiście... – wzdycha Nikitin wstając. – Oczywiście!
- Dość już miałam... no, idź, nie przeszkadzaj mi spać... Dokuczyło mi słuchać twoich bredni.
- Hm... Tek... Oczywiście! Oskubał... Okradł... Pamiętamy, co dajemy, ale nie pamiętamy tego, cośmy brali.
- Nigdy nic od ciebie nie brałam.
- Czyżby? A kiedyśmy, szanowna pani, nie byli jeszcze wybitną artystką, to na czyje konto się żyło? A kto, jeśli mi wolno spytać, wyciągnął panią z nędzy i uszczęśliwił? Tego pani nie pamięta?
- Idź już, idź. Prześpij się.
- Jeżeli wydaje się pani, że jestem pijany... jeżeli dla takiej ważnej osoby jestem zbyt przyziemny, to mogę odejść na zawsze.
- To odejdz. Doskonale zrobisz.
- A odejde. Dość już poniżałem się. Odejde.
- Ach, mój Boże! Więc odejdz! Będę szczęśliwa!
- Doskonale. Zobaczymy.

Nikitin mamrocze coś pod nosem i potykając się o krzesła wychodzi z sypialni. Po czym z przedpokoju dobiega szept, szurganie kaloszy i dźwięk zatrząskiwanych drzwi. Mari d'elle naprawdę się obraził i wyszedł.

„Dzięki Bogu, poszedł... – myśli śpiewaczka. – Teraz mogę spać”. Zасыpiając myśli o swym mari d'elle. Kim jest i skąd się wziął ten dopust Boży? Ongi mieszkał w Czernihowie i pracował jako buchalter. Jako zwykły, szary człowieczek, a nie mari d'elle, był całkiem znorny: chodził do biura, pobierał pensję i wszystkie jego projekty i marzenia nie wykraczały poza nową gitarę, modne spodnie i bursztynową cygarniczkę. Dopiero kiedy został „mężem znakomitości”, przeobraził się całkowicie. Śpiewaczka pamięta, że kiedy po raz pierwszy oświadczyła mu, że idzie na scenę, długo się zgrywał, oburzał, skarżył się jej rodzicom, wyrzucał ją z domu. Trzeba było iść na scenę bez jego zgody. Potem zaś, kiedy się dowiedział z gazet i od znajomych, że ona ma dużą gażę, „przebaczył” jej, porzucił buchalterię i stał się rezydentem. Patrząc na niego nie mogła wyjść z podziwu: kiedy i gdzie zdążył nabrać nowych gustów, zdobyć polor i pańskie nawyki? Gdzie poznał smak ostryg i win burgundzkich? Kto go nauczył ubierać się i czesać wedle mody, mówić „Natalie” zamiast Natasza?

„Dziwne... – myśli śpiewaczka. – Dawniej nieraz odkładał z pensji, a teraz mało mu stu rubli dziennie. Dawniej bał się nawet odezwać przy gimnazjalistach, żeby nie palnąć głupstwa, a teraz poufali się nawet z książętami... Nędzna kreatura!”

Ale oto śpiewaczka drgnęła znowu: w przedpokoju brzmi dzwonek. Pokojówka klnąc i gniewnie szurając pantoflami idzie otworzyć drzwi. Znowu wchodzi ktoś tupiąc jak koń.

„Wrócił! – myśli śpiewaczka. – Kiedyż wreszcie dadzą mi spokój? To nieznośne!”

Artystkę ogarnia gniew.

„Poczekaj... Ja cię nauczę grać komedie! Pójdiesz wreszcie na dobre! Ja cię zmuszę do tego!”

Bronina zrywa się z łóżka i bosy biegnie do małego saloniku, w którym zazwyczaj sypia jej mari. Zastaje go w chwili, kiedy rozbiera się i układa starannie ubranie na krześle.

– Przecież miałeś nie wracać! – mówi patrząc na niego błyszczącymi nienawiścią oczyma.
– Po coś wrócił?

Nikitin milczy i tylko sapie.

– Przecież miałeś odejść! Wynoś się w tej chwili! W tej chwili! Słyszysz?

Mari d'elle kaszle i nie patrząc na żonę zdejmuje szelki.

– Jeżeli ty, bezczelny, nie pójdiesz stąd, to ja odejdę! – mówi śpiewaczka, tupiąc bosą nogą i błyskając oczami. – Odejdę! Słyszysz, ty, bezczelny... łajdak, lokaj! Precz stąd!

– Wstydzilibyś się przy obcych... – bąka mąż.

Śpiewaczka ogląda się i teraz dopiero dostrzega nie znaną sobie fizjonomię aktorską... Fizjonomia, która oglądała nagie ramiona i bosc nogi artystki, jest skonfundowana i gotowa zapaść się pod ziemię.

– Rekomenduję... – mamrocze Nikitin. – Prowincjonalny impresario Bezbożników.

Śpiewaczka wydaje okrzyk i ucieka do swej sypialni.

– Ta-ak... – mówi mari d'elle, wyciągając się na kanapie. –Wszystko szło jak po maśle. Kochany, najmilszy mój, najdroższy... pocałunki i uściski... A jak tylko doszło do pieniędzy, to jak pan widzisz... Wielka to rzecz pieniądze... Dobranoc!

Po chwili słyhać chrapanie.

Przekład: Zofia Kaczorowska

SPOSÓB NA PIJAKA

Do miasta D. w osobnym przedziale pierwszej klasy przybył na gościnne występy znany recytator i komik, pan Feniksow–Dikobrazow Drugi. Wszyscy, którzy go witali na dworcu, wiedzieli, że bilet pierwszej klasy został nabyty dla „fasonu” dopiero na przedostatniej stacji, a przedtem znakomitość podróżowała trzecią klasą; wszyscy widzieli, że mimo chłodnej jesiennej pory znakomitość miała na sobie tylko letnie paletko oraz znoszoną fokową czapkę, jednak, kiedy w oknie wagonu ukazało się sine, zaspane oblicze Dikobrazowa Drugiego, wszyscy poczuli jakiś dreszcz i pragnienie zawarcia z nim znajomości. Impresario Poczeczujew zwyczajem rosyjskim trzykrotnie ucałował przybyłego i zawiózł go do swego mieszkania.

Znakomitość powinna była rozpocząć występy w dzień lub dwa po przyjeździe, ale los zrządził inaczej; w przeddzień przedstawienia do kasy teatru wbiegł impresario blady, z rozwianym włosom i oznajmił, że Dikobrazow Drugi nie może grać.

– Nie może! – oświadczył Poczeczujew chwytając się za głowę. – Cóż wy na to? Miesiąc, cały miesiąc drukowaliśmy wołowymi literami, że u nas wystąpi Dikobrazow, chełpiliśmy się, pyszniliśmy się, wzięliśmy pieniądze za abonamenty, i nagle takie świństwo! Co? Przecież takiego powiesić, to też mało!

– Ale o co chodzi? Co się stało?

– Zapił się, bestia!

– Wielkie mi rzeczy! Wyśpi się i koniec.

– Prędeż zdechnie, niż się wyśpi! Znam go jeszcze z Moskwy: jak zacznie wódkę żłopać, to przez dwa miesiące oka nie zmruży. Na umór pije! Wprost na umór! Takie już mam szczęście! Za co mnie los tak prześladuje! Za czyje grzechy muszę tak cierpieć, nieszczęsny! Za co... za co nad moją głową zawisła klątwa niebios? (Poczeczujew jest tragikiem zarówno z zawodu, jak z natury; patetyczne słowa poparte biciem się pięściami w pierś bardzo do niego pasują). O, jakże jestem nikczemny, nędzny i godzien pogardy, że kornie podstawiam głowę pod ciosy losu! Czyż nie lepiej raz na zawsze skończyć z haniebną rolą pochyłego drzewa, na które wszystkie kozy skaczą, i wpakować sobie kulę w łeb? Na co czekam? Boże, na co jeszcze czekam?

Poczeczujew zakrył twarz dłońmi i odwrócił się do okna. W kasie prócz kasjera było wielu aktorów i wielbicieli teatru, toteż nie zabrakło rad oraz słów pocieszenia i otuchy. Ale wszystko to miało charakter filozoficzny lub proroczy; nikt nie posunął się dalej poza: „marność nad marnościami”, „gwizdź pan na to” i „a nuż”. Jeden tylko kasjer, okrągłutki jegomość dotknięty wodną puchliną, odniósł się do sprawy nieco bardziej rzeczowo.

– A może by pan – powiedział – spróbował go leczyć, Proklesie Lwowiczu.

– Na pijaka nie ma lekarstwa!

– Co też pan mówi? Nasz fryzjer znakomicie leczy pijaków. Całe miasto u niego się kuruje.

Poczeczujewa ucieszyła możliwość chwycenia się bodaj słomki i już w pięć minut później stał przed nim fryzjer teatralny Fiodor Griebieszkow. Wyobraźcie sobie wysoką, kościstą postać z zapadniętymi oczami, z długą rzadką brodą i brunatnymi rękami, dodajcie do tego zdu-

miewające podobieństwo do szkieletu, któremu kazano poruszać się na śrubach i sprężynach, ubierzcie postać tę w zniszczony do cna czarny garnitur, a otrzymacie portret Griebieszkowa.

– Jak się masz, Fiedia! – zwrócił się doń Poczeczujew. – Słyszałem, przyjacielu, że ty... tego... leczysz pijaków. Bądź tak dobry i, nie tyle dla sławy, ile dla sprawy, wylecz Dikobrazowa! Bo, uważasz, zapił się!

– A niechże go! – ozwał się Griebieszkow ponurym basem. – Co pomniejszych aktorów, kupców i urzędników leczę w rzeczy samej, ale toć to przecież znakomitość na całą Rosję!

– No, to co z tego?

– Żeby z niego pociąg do wódki wygnać, trzeba we wszystkich stawach i organach cieleśnych przewrotu dokonać. Dokonam w nim tego przewrotu, a on wyzdrowieje i na ambit weźmie... „Jakoś ty śmiał – powie – kpie jeden, twarzy mojej dotykać?” Znam te znakomitości!

– No, no... nie wymiguj się, bracie! Podajesz się za borowika, to włącz do koszyka! Kładź czapkę, idziemy!

Gdy po kwadransie Griebieszkow wchodził do pokoju Dikobrazowa, znakomitość leżała na łóżku i ze wściekłością patrzyła na wiszącą lampę. Lampa wisiała całkiem spokojnie, ale Dikobrazow Drugi nie spuszczał z niej oczu i mrucał:

– Ja ci się pokręcę! Ja cię nauczę kręcić mi się tutaj! Rozbiłem karafkę, to i ciebie rozbiję, zobaczysz! A–a–a... sufit też się kręci... Rozumiem: spisek! Ale lampa, lampa! Najmniejsza, bestia, a najbardziej się kręci! Poczekaj no...

Komik wstał i ciągnąc za sobą prześcieradło oraz zrzucając szklanki ze stolika, chwiejnym krokiem skierował się ku lampie, ale w połowie drogi natknął się na coś wysokiego, kościstego...

– Co to? – wrzasnął wodząc błędnym wzrokiem. – Ktoś ty? Skądęś się tu wziął? Co?

– Zaraz ci pokażę, kto jestem... Jazda do łóżka!

I nie czekając, aż komik położy się z powrotem, Griebieszkow zamachnął się i grzmotnął go pięścią w kark z taką siłą, że Dikobrazow fiknął koziołka wprost na łóżko. Widocznie komika nikt dotychczas nie bił, gdyż mimo stanu silnego podchmielenia spojrzął na Griebieszkowa ze zdumieniem, a nawet z pewnym zainteresowaniem.

– Tyś... mnie uderzył? Po... poczekaj, uderzyłeś mnie?

– Uderzyłem. A może chcesz jeszcze?

I fryzjer znów dał komikowi w zęby. Nie wiem, co w tym wypadku poskutkowało, siła uderzenia czy też nowość przeżycia, w każdym razie z oczu komika zniknął błędny wyraz, a nawet błysnęła w nich iskierka inteligencji. Zerwał się i nie tyle z gniewem, ile z ciekawością zaczął przyglądać się bladej twarzy i brudnemu surdutowi Griebieszkowa.

– Ty... ty bijesz mnie – wymamrotał. – Jak.. jak śmiesz?

– Milczeć!

Tu znów nastąpiło uderzenie w twarz. Rozwścieczony komik już zamierzał się bronić, ale wtedy jedna ręka Griebieszkowa zgniotła mu pierś, a druga zatańczyła po twarzy.

– Nie tak mocno! Nie tak mocno! – dał się słyszeć z sąsiedniego pokoju głos Poczeczujewa. – Nie tak mocno, Fiedieńka!

– Nie szkodzi, Proklesie Lwowiczu! Jeszcze mi podziękuj!

– Ale nie tak mocno! – płaczącym głosem ozwał się Poczeczujew zaglądając do pokoju komika. – Dla ciebie to nic, a mnie aż ciarki przechodzą. Zastanów się tylko: w biały dzień bić człowieka w pełni praw, inteligentnego, znanego i na dodatek w jego własnym pokoju... Ach!

– Kiedy ja nie jego biję, Proklesie Lwowiczu, tylko diabła, co w nim siedzi. Wyjdź pan z łaski swojej i nie przejmuj się. Leż spokojnie, diable rogaty! – wrzasnął Fiodor na komika. – Nie ruszaj mi się! No–o–oo!

Dikobrazowa ogarnęło przerażenie. Zdawało mu się, że wszystko, co się przedtem kręciło i co rozbijał, teraz zmówiło się przeciwko niemu i zgodnie runęło mu na głowę.

– Na pomoc! – zawołał. – Ratunku! Na pomoc!

– Krzycz, krzycz, biesie! To są na razie kwiatki, a jagódki dopiero będą! Teraz posłuchaj: jeżeli piśniesz choć słówko albo ruszysz się, zabiję! Zabiję bez litości! Nikt się za tobą, bratku, ujmować nie będzie. Choćbyś z armaty strzelał, nikt tu nie przyjdzie. A jak będziesz cichy i pokorny, dostaniesz wódeczki. Widzisz, tu jest wódka!

Griebieszkow wyciągnął z kieszeni butelkę wódki i błysnął nią przed oczami komika. Na widok przedmiotu swej namiętności pijak zapomniał o razach i aż zarżał z radości. Griebieszkow wyjął z kieszeni od kamizelki kawałek brudnego mydła i wpuścił do butelki. Kiedy wódka spieniła się i zmętniała, zaczął wrzucać do niej wszelkiego rodzaju świństwa: saletrę, amoniak, kwasek, sól glauberską, siarkę, kalafonię tudzież inne „specyfiki” sprzedawane w sklepach mydlarskich. Komik wlepił oczy w Griebieszkowa i pożądliwie śledził poruszenia butelki. Na zakończenie fryzjer spalił kawałek szmaty, popiół wsypał do wódki, wstrząsnął butelką i zbliżył się do łóżka.

– Pij! – powiedział nalewając pół szklanki od herbaty. – Duszkiem!

Komik wypił z rozkoszą, chrząknął i natychmiast wytrzeszczył oczy. Twarz mu gwałtownie pobraźla i pot wystąpił na czoło.

– Napij się jeszcze! – zaproponował Griebieszkow.

– Nie... nie chcę! Za... zaczekaj...

– Pij, żeby cię... Pij! Bo zabiję!

Dikobrazow wypił, jęknął i zwałił się na poduszkę. Po chwili jednak podniósł się i Fiodor miał okazję stwierdzić, że jego specyfik działa.

– Pij jeszcze! Trzeba, żeby ci się wszystkie bebechy przewróciły, wtedy będzie dobrze! Pij!

Z tą chwilą dla komika nastąpił czas męczeństwa. Wnętrznosci jego dosłownie skręcało. Zrywał się, rzucał się na łóżku i z przerażeniem śledził powolne ruchy swego bezlitosnego i nieprzejednanego wroga, który nie dawał mu chwili wytchnienia i okładał go niestrudzenie, ilekroć komik wykręcał się od specyfiku. Razy ustępowały miejsca specyfikowi, specyfik razem. Nigdy jeszcze ciało biednego Feniksowa–Dikobrazowa Drugiego nie doznawało takich zniewag i poniżenia i nigdy jeszcze znakomitość nie była tak słaba i bezbronna. Z początku komik krzyczał i kłął, potem zaczął błagać, a w końcu, kiedy przekonał się, że wszelkie protesty prowadzą do bicia, zaczął płakać. Poczeczujew, który stał za drzwiami i podsłuchiwał, nie wytrzymał wreszcie i wbiegł do pokoju komika.

– A idź ty do diabła! – powiedział machając rękami. – Niech już lepiej przepadną pieniądze za abonamenty, niech pije wódkę, tylko nie męcz go już, z łaski swojej! Zdechnie przecież, niech cię wszyscy diabli! Patrz, już ledwo zipie! Gdybym wiedział, że to tak, nigdy bym się nie zgodził...

– Nic nie szkodzi... Jeszcze sam mi podziękuje, zobaczy pan... A ty tam co? – zwrócił się Griebieszkow do komika. – Bo dostaniesz!

Griebieszkow do samego wieczora mordował się z komikiem. Sam się zmachał i Dikobrazowa omal nie zamęczył. Doszło do tego, że komik straszliwie osłabł, nie mógł już nawet wydawać jęków i zdrętwiał z wyrazem przerażenia na twarzy. W następstwie odrętwienia przyszło coś w rodzaju snu.

Nazajutrz, ku wielkiemu zdziwieniu Poczeczujewa, komik obudził się – a zatem nie umarł. Po przebudzeniu rozejrzał się tępo, zatoczył po pokoju błędnym wzrokiem i zaczął sobie przypominać.

– Dlaczego mnie tak wszystko boli? – dziwił się. – Całkiem jakby po mnie pociąg przejechał. Może by się wódki napić? Ej, jest tam kto? Wódki!

W tym czasie Poczeczujew i Griebieszkow stali za drzwiami.

– Wódki żąda, a więc nie wyzdrowiał! – przeraził się Poczeczujew.

– Co też pan, dobrodzieju, Proklesie Lwowiczu! – zdziwił się fryzjer. – Czy to tak można w jeden dzień wyleczyć? Daj Boże, żeby za tydzień była poprawa, a gdzie by tam w jeden dzień. Poniektórych, słabszych, to w pięć dni można wykurować, ale ten tu przecież kompleksję ma iście kupiecką. Nie tak łatwo sobie z nim poradzić.

– Czemuś mi tego wcześniej nie powiedział, potępieńcze? – jęknął Poczeczujew. – Za co ja, nieszczęsny, tak cierpię! Czego, nieszczęsny, oczekuję jeszcze od losu? Czyż nie rozsądniej byłoby raz z tym skończyć, wpakować sobie kulę w łeb... itd.

Tymczasem wbrew ponurym przewidywaniom Poczeczujewa po tygodniu Dikobrazow Drugi już występował i pieniędzy za abonamenty nie trzeba było zwracać. Griebieszkow charakteryzował komika, przy czym z takim szacunkiem dotykał jego głowy, że nie poznalibyście w nim poprzedniego oprawcy.

– Twarda sztuka! – dziwował się Poczeczujew. – Ja omal nie umarłem na sam widok jego męczarni, a on, jak gdyby nigdy nic, jeszcze wdzięczny jest temu szatanowi Fiedce, do Moskwy chce go ze sobą zabrać! Cudeńka, słowo daję!

Przełożyli Janina i Jan Brzechwowie

PORTFEL

Trzej wędrowni aktorzy Smirnow, Popow i Bałabajkin szli pewnego pięknego poranka wzdłuż toru kolejowego i znaleźli portfel. Otworzywszy go, ku wielkiemu swemu zdziwieniu i zadowoleniu zobaczyli w nim dwadzieścia banknotów, sześć premiówek i czek na trzy tysiące. Przede wszystkim wykrzyknęli „hurra!”, a potem usiedli na nasypie i zaczęli rozplływać się z zachwytu.

– Ile to wypada na każdego? – mówił Smirnow licząc pieniądze. – Rety! Po pięć tysięcy czterysta czterdzieści pięć rubli! Taka kupa pieniędzy, przecież to umrzeć można, moi złoci.

– Nie tyle się cieszę ze względu na siebie – powiedział Bałabajkin – ile ze względu na was, moi złoci. Nie będziecie teraz głodować ani chodzić na bosaka. Cieszę się ze względu na sztukę... Pierwsza rzecz, bracia drodzy, pojedę do Moskwy i prosto do Aillera; szuj mi, bracie, całą garderobę... Nie chcę już grać pejzanów¹⁵, przejdę na rolę elegantów i fircyków. Kupię cylinder i szapoklak. Do roli elegantów – szary cylinder.

– Trzeba by teraz z tej radości wypić i coś przekąsić – powiedział jeune-premier Popow. Przecież od trzech dni nie jedliśmy gotowanego, należałoby się nam coś takiego... hę?

– Nieźle by było, kochaneczki najmiłsze... – zgodził się Smirnow. – Pieniądzy jak lodu, a nie ma co jeść, moi najdrożsi. Wiesz co, Popow, mój skarbie, tyś z nas najmłodszy i najlżejszy, wzięłybyś ruble z portfela i marsz po prowiant, aniołeczku mój śliczny... O, tam jest wieś! Widzisz, za kurhanem bieli się cerkiew? Będzie pięć wiorst najwyżej... Widzisz? Duża wieś, wszystko tam dostaniesz... kup butelkę wódki, funt kiełbasy, dwa bochenki chleba i śledzia, a my tu na ciebie poczekamy, kochasiu najmiłszy...

Popow wziął rubla i zbierał się w drogę. Smirnow ze łzami w oczach objął go, trzykrotnie pocałował, przeżegnał, nazywając go kochaneczkiem, aniołkiem, duszką... Bałabajkin także go uściskał, przysiągł mu wieczną przyjaźń i dopiero po długiej litanii najrzewniejszych, najczulszych zaklęć Popow zbiegł z nasypu i skierował kroki w stronę ciemniejącej w oddali wioski.

„Co za szczęście! – myślał po drodze. – Nie mieliśmy ani grosza, a tu nagle tyle pieniędzy! Machnę się teraz do rodzinnego miasta, Kostromy, zbiórę trupę i sam teatr wybuduję. Mówiąc nawiasem, za pięć tysięcy to się teraz nawet porządnej szopy nie wybuduje. Żeby tak cały portfel był mój – to rzecz inna... Takie bym teatrzysko wystawił, że moje uszanowanie. Prawdę powiedziawszy, Smirnow i Bałabajkin – jacyż to aktorzy? Bez krzty talentu, świnię, tępaki... Pieniądze zmarnują na głupstwa, a ja bym pracował z pożytkiem dla ojczyzny, i siebie okryłbym nieśmiertelną sławą... Wiem, co zrobię... Wezmę i dodam trucizny do wódki. Oni umrą, ale za to w Kostromie będzie teatr, jakiego jeszcze Rosja nie widziała. Ktoś, chyba Mac-Mahon, powiedział, że cel uświęca środki, a Mac-Mahon to był przecież wielki człowiek”.

Kiedy tak szedł i rozmyślał, jego koledzy Smirnow i Bałabajkin siedzieli na nasypie i wiedli następującą rozmowę:

¹⁵ *Pejzan* (z fr. paysan) - chłop.

– Nasz przyjaciel Popow to złoty chłopak – mówi Smirnow ze łzami w oczach – lubię go, cenię wysoko za talent, jestem w nim po prostu zakochany, ale... wiesz co? – te pieniądze go zgubią... Albo je przepije, albo puści się na jakieś spekulacje i skręci kark. Jest jeszcze za młody, żeby mieć własne pieniądze, kochaneczek mój śliczny, synek rodzony.

– Tak – przyznał Bałabajkin i uściskali się ze Smirnowem. – Na co temu smarkaczowi pieniądze? Co innego my... My mamy rodziny, ludzie z nas stateczni... Dla nas każdy rubel dużo znaczy... (pauza) Wiesz co, bracie? Nie będziemy długo gadać ani bawić się w sentymenty: weźmiemy i zakatrupimy go!... Wtedy każdy z nas dostanie po osiem tysięcy. Zakatrupimy, a w Moskwie powiemy, że wpadł pod pociąg... Ja także kocham go, ubóstwiam, ale przecież, na mój rozum, interes sztuki przede wszystkim! W dodatku on nie ma iskry talentu, a głupi jest jak but.

– Co też ty mówisz? – przestraszył się Smirnow. – To taki zacny, uczciwy chłopak... Chociaż, z drugiej strony, mówiąc szczerze, kochasiu, wielka z niego świnią, dur-reń, intrygant, plotkarz, oszust... Jeśli go naprawdę zabijemy, to on sam jeszcze nam podziękuje, kochasiu... A żeby mu nie było tak przykro, wydrukujemy w Moskwie w gazetach wzruszający nekrolog. To będzie po koleżeńsku.

Jak powiedzieli, tak też zrobili... Kiedy Popow wrócił ze wsi z prowiantem, koledzy uściskali go ze łzami, ucałowali, długo zapewniali, że jest wielkim artystą, potem nagle rzucili się na niego i zabili. Chcąc zatrzeć ślady zbrodni, położyli trupa na szynach... Podzieliwszy się znalezionymi pieniędzmi, Smirnow i Bałabajkin, wzruszeni, obsypując się nawzajem najczulszymi słowami, zaczęli zajadać, głęboko przekonani, że zbrodnia ich pozostanie bezkarna... Ale cnota zawsze tryumfuje, występki zaś bywa karany. Trucizna, którą Popow wsypał do butelki, podziałała piorunująco: przyjaciele nie zdążyli jeszcze wypić po drugim kieliszku, jak już wyzionawszy ducha leżeli na torze. Po godzinie z głośnym krakaniem krążyły nad nimi kruki.

A morał tej historii: kiedy aktorzy ze łzami w oczach mówią o swoich kochanych kolegach, o przyjaźni i wzajemnej „solidarności”, kiedy cię ściskają i całują, nie wzruszaj się zbytnio, czytelniku.

Przeżyła Jadwiga Dmochowska

ROMANS Z KONTRABASEM

Muzyk Smyczkow szedł z miasta do willi księcia Bibułowa, gdzie z okazji zaręczyn miał odbyć się wieczór z muzyką i tańcami. Na plecach dźwigał ogromny kontrabas w skórzanym futerale. Smyczkow szedł brzegiem rzeki, toczącej swe chłodne fale wprawdzie niezbyt majestatycznie, lecz wielce poetycznie.

„Może by tak się wykapać?” – pomyślał muzyk. Niewiele myśląc rozebrał się i zanurzył ciało w chłodnej toni. Wieczór był wspaniały. Poetycka dusza Smyczkowa jeła współdzwięcować harmonijnie z otoczeniem. Lecz jakże słodkie opanowało ją uczucie, gdy odpłynawszy o jakieś sto kroków w bok ujrzał piękną dziewczynę siedzącą na stromym brzegu z wędką w ręku. Wstrzymał oddech i zamarł pod wpływem różnorodnych uczuć: wspomnienia dzieciństwa, tęsknota za przeszłością, budząca się miłość... Boże, wszak sądził, że już nie potrafi kochać! Po przejściu, które odebrało mu wiarę w ludzi (gorąco umiłowana żona uciekła z jego przyjacielem, fagocistą Sobakinem), pierś muzyka wypełniło uczucie pustki i stał się mizantropem.

„Czym jest życie? – zadawał sobie nieraz pytanie. – Po co żyjemy? Życie to mit, marzenie... brzuchomówstwo...”

Lecz stojąc przed śpiącą królewną (nietrudno było zauważyć, że spała) muzyk nagle, wbrew woli, poczuł w piersi coś, co przypominało miłość... Długo stał, pożerając ją wzrokiem...

„Dość jednak... – pomyślał, wydając głębokie westchnienie. – Żegnaj, piękne zjawisko! Na mnie już czas. Muszę iść na bal do jasnie wielmożnego...”

Spojrząwszy raz jeszcze na uśpioną piękność chciał już płynąć z powrotem, gdy nagle wpadł na pomysł.

„Trzeba pozostawić jej pamiątkę po sobie! – pomyślał. – Przyczepię coś do wędki. Będzie to niespodzianka od nieznanego.”

Smyczkow cichcem podpłynął do brzegu, narwał duży bukiet polnych i wodnych kwiatów, i zwiąawszy go łądką lebiody przyczepił do wędki.

Bukiet opadł na dno i pociągnął za sobą piękny spławik.

Rozsądek, prawa natury i stanowisko społeczne naszego bohatera wymagają, aby romans zakończył się właśnie na tym, lecz – niestety! Los autora jest nieubłagany: z przyczyn od niego niezależnych przygoda nie zakończyła się na bukiecie kwiatów. Wbrew zdrowemu sensowi i przyrodzonemu biegowi rzeczy biednemu nieznanemu kontrabasiście przeznaczone było odegrać w życiu świetnie urodzonej i bogatej piękności poważną rolę.

Smyczkow podpłynął do brzegu i osłupiał ze zdumienia: nie znalazł swojej odzieży. Ubranie jego skradziono... Nieznani złoczyńcy, podczas gdy muzyk zachwycał się piękną damą, zrabowali mu wszystko prócz kontrbasu i cylindra.

– Przekleństwo! – wykrzyknął Smyczkow. – O ludzie, o jaszczurcze plemię!¹⁶ Nie tyle oburza mnie pozbawienie przyodziewku (bowiem ubranie jest rzeczą znikomą), ile myśl, że

¹⁶ Niedokładny cytat z tyrady Karola Moora, bohatera *Zbójców* Fryderyka Schillera (1759-1805).

będę zmuszony wędrować na golasa i czynem tym wykroczyć przeciwko obyczajności społecznej.

Usiadł na futerale kontrabasu i zaczął szukać wyjścia z okropnej sytuacji.

„Nie pójdę przecież nago do księcia Bibułowa! – pomyślał. – Tam będą damy! A poza tym złoczyńcy wraz ze spodniami ukradli znajdującą się w nich kalafonię!”

Rozmyślał długo, męcząco, aż do bólu w skroniach.

„Ba! – przypomniał sobie wreszcie. – W pobliżu brzegu, w krzakach, jest mostek... zanim zapadnie zmrok, mogę posiedzieć pod tym mostkiem, a wieczorem, po ciemku, przebiegnę do pierwszej chałupy!...”

Smyczkow, utwierdziwszy się w tej myśli, włożył cylinder, załadował na plecy kontrabas i powlókł się ku krzakom. Nagi, z instrumentem muzycznym na plecach, przypominał jakiegoś starożytnego półboga.

A teraz, czytelniku, póki mój bohater siedzi pod mostkiem i oddaje się rozpaczom, opuścimy go na pewien czas i zwróćmy się ku pięknej pannie łowiącej ryby. Cóż się z nią stało? Obudziwszy się i nie widząc na wodzie szałwika, szybko pociągnęła za wędkę. Żyłka napięła się, lecz haczyk i szałwik nie wypłynęły z toni rzecznej. Widocznie bukiet Smyczkowa rozmókł w wodzie, napęczniał i stał się ciężki.

„Albo złapała się duża ryba – pomyślała panna – albo wędka się zaczepiła.”

Po kilkakrotnym targnięciu wędziska panna zdecydowała, że haczyk się zaczepił.

„Jaka szkoda! – pomyślała. – Zwykle wieczorem ryba tak dobrze bierze! Co robić?”

I niewiele myśląc, ekscentryczne dziewczę zdjęło swe eteryczne szaty i zanurzyło piękne ciało w toni, aż po marmurowe ramiona. Niełatwo było odczepić haczyk od bukietu, w którym zaplątała się żyłka, lecz cierpliwość i praca zrobiły swoje. Po jakimś kwadransie piękne dziewczę, promienne i szczęśliwe, wyszło z wody trzymając haczyk w ręku.

Lecz zły los nie drzemał. Złoczyńcy, którzy skradli ubranie Smyczkowa, zrabowali i jej suknie, pozostawiając jedynie słoik z robakami.

„Cóż ja teraz pocznę? – zapłakała. – Czyż mam iść tak, jak stoję? Nie, przenigdy! Raczej śmierć! Zaczekam, aż ściemnieje; wówczas w ciemnościach dojdę do ciotki Agafii i poślę ją do domu po suknię... A tymczasem pójdę i schowam się pod mostkiem.”

Moja bohaterka, wybierając co wyższą trawę i schylając się, pobiegła do mostku. Właząc pod mostek ujrzała tam nagiego człowieka o artystycznej grzywie i włochatej piersi; wydała okrzyk i... zemdląca.

Smyczkow zląkł się również: początkowo wziął dziewczynę za najadę.

„Czy nie jest to czasem rzeczna syrena, która zjawiła się, aby mnie uwieść?” – pomyślał i przypuszczenie to mile połechtало go, bowiem zwykł był mieć wysokie mniemanie o swej powierzchowności. – „Jeżeli zaś nie jest syreną, tylko człowiekiem, to jak wytłumaczyć tę dziwną transformację? Po co przyszła tu pod most? I co się jej stało?”

Zanim muzyk rozwiązał te zagadkowe pytania, piękność odzyskała przytomność.

– Proszę mnie nie zabijać! – szepnęła. – Jestem księżniczka Bibułowa. Błagam pana! Pan otrzyma dużo pieniędzy! Przed chwilą odczepiałam haczyk swej wędki w wodzie i jacyś zbóje skradli moją nową suknię, buciki i wszystko.

– Pani! – rzekł Smyczkow błagalnym tonem. – Mnie też skradziono moje ubranie. I poza tym wraz ze spodniami zagrabiono mi znajdującą się w nich kalafonię!

Wszyscy grający na kontrabasach i trombonach zazwyczaj nie umieją się zachować; Smyczkow zaś był miłym wyjątkiem.

– Pani! – przemówił po chwili. – Spostrzegam, że widok mój krępuje panią. Lecz zgodzi się pani, że nie mogę opuścić tego ustronia z tych samych powodów, co pani. Oto więc, co obmyśliłem: Czy nie zechciałyby pani położyć się w futerale mego kontrabasu i zamknąć wieczko? To skryje mnie od pani...

Rzekłszy to Smyczkow wyjął kontrabas z futerału. Przez chwilę zdawało mu się, że pożyczając futerał profanuje świętość sztuki, lecz wahanie to trwało krótko. Piękna panna legła w futerale, zwinęła się w kłębuszek, on zaś zaciągnął rzemienie i napełniła go radość, że natura obdarzyła go takim bystrym rozumem.

– Teraz pani mnie nie widzi – rzekł. – Proszę leżeć tu i nic się nie martwić. Kiedy nastanie zmrok, zaniosę panią do domu rodziców. Po kontrabas zaś mogę przyjść później.

Z zapadnięciem zmroku Smyczkow zarzucił na ramiona futerał z piękną panną i powlókł się ku willi Bibułowa. Plan miał następujący: najpierw dotrzeć do pierwszej chałupy, tam zapatrzeć się w jakiś przyodziewek i pójść dalej...

„Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło – myślał wznosząc kurzawę bosymi stopami i uginając się pod ciężarem. – Za czułą troskliwość, którą okazałem księżniczce, Bibułow z pewnością szczerze mnie wynagrodzi!”

– Pani, czy aby czuje się pani wygodnie? – pytał tonem *cavalier galant*¹⁷ zapraszającego damę do kadryla. – Proszę się łaskawie nie krępować i czuć się w moim futerale jak w domu!

Nagle szarmanckiemu Smyczkowowi wydało się, że przed nim, spowite mrokiem, idą dwie postaci ludzkie. Wpatrzywszy się uważniej przekonał się, że nie jest to bynajmniej złudzenie optyczne: postaci szły rzeczywiście i nawet niosły w ręku jakieś tobołki...

„Czy nie są to czasem złodzieje? – błysnęła muzykowi przelotna myśl. – Coś niosą. Prawdopodobnie – nasze ubrania!”

Smyczkow złożył futerał przy drodze i popędził za oddalającymi się postaciami.

– Stać! – krzyczał. – Stać! Trzymaj!

Postaci obejrzały się i spostrzegłszy pogoń usiłowały czmychnąć... Księżniczka długo jeszcze słyszała przyspieszone kroki i okrzyki: „Stój!” Wreszcie wszystko ucichło.

Smyczkowa porwała pogoń i piękna panna prawdopodobnie długo jeszcze musiałaby leżeć w polu przy drodze, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Przypadek zdarzył, że w tym czasie tą samą drogą zmierzali do willi Bibułowa koledzy Smyczkowa: flecista Żuczkow i klarncista Rozmachajkin. Natknąwszy się na futerał, spojrzeli zdumieni na siebie i rozłożyli ręce.

– Kontrabas! – rzekł Żuczkow. – Ba, wszakże to kontrabas naszego Smyczkowa! Ale skąd on się tu wziął?

– Prawdopodobnie ze Smyczkowem coś się stało – zawyrokował Rozmachajkin. – Albo upił się, albo go ograbiono... Bądź co bądź nie godzi się pozostawiać tu kontrabas. Zabierzmy go ze sobą.

Żuczkow załadował futerał na plecy i muzykanci ruszyli dalej.

Do diaska, cóż to za ciężar! – burczał przez całą drogę flecista. – Za nic na świecie nie zgodziłbym się grać na takim potworze!... Uf!...

Po przybyciu do willi księcia Bibułowa muzykanci złożyli futerał na miejscu przeznaczonym dla orkiestry i udali się do bufetu.

W tym czasie w willi zapalono już żyrandole i kandelabry. Narzeczony, radca dworu¹⁸ Łakieicz, przystojny i sympatyczny urzędnik resortu komunikacji, stał na środku sali wetknąwszy ręce w kieszenie i gawędził z hrabią Szkalikowem. Rozmowa dotyczyła muzyki.

– Wie pan, hrabio – mówił Łakieicz – w Neapolu poznałem pewnego skrzypka, który dosłownie wyczyniał cuda. Nie uwierzy pan! Na kontrabasie... na najzwyczajszym kontrabasie wygrywał takie diabelskie trele, że po prostu okropność! Grał nawet walce Straussa!

– Panie szanowny, to niemożliwe... – powątpiewająco odrzekł hrabia.

¹⁷ *cavalier galant* (fr.) - galant, wytwornisz, mężczyzna asystujący damie, uprzejmy kawaler.

¹⁸ *radca dworu* - według Tabeli rang urzędnik siódmego stopnia.

– Zapewniam pana! Potrafił wykonać nawet rapsodię Liszta! Mieszkałem z nim we wspólnym pokoju i kiedyś ot tak, dla zabicia czasu, nauczyłem się od niego grać na kontrabasie rapsodię Liszta.

– Rapsodię Liszta... Hm!... Pan żartuje!

– Nie wierzy pan? – zaśmiał się Łakieicz. – Zaraz panu dowiodę! Chodźmy do orkiestry.

Narzeczoney i hrabia skierowali się do orkiestry. Podeszli do kontrabas, zaczęli szybko rozwiązywać rzemyki futerału... i – o, zgrozo!...

My zaś tymczasem, zanim czytelnik puści wodze fantazji i domaluje sobie zakończenie sprzeczki muzycznej, wróćmy do Smyczkowa...

Biedny muzyk, nie ujawszy złodziei, powrócił na miejsce, gdzie pozostawił futerał i... nie znalazł drogocennego ładunku! Gubiąc się w domysłach przeszedł się kilkakrotnie tam i z powrotem po drodze i nie znalazłszy futerału pomyślał, że widocznie trafił na inną drogę...

„To straszne! – rozpaczął, targając włosy i oblewając się zimnym potem. – Ona może się udusić w futerał! Jestem mordercą!”

Do północy Smyczkow błądził po drogach i szukał futerału, aż wreszcie opadł z sił i powędrował pod mostek.

„Poszukam o świcie” – postanowił. Poszukiwania o świcie dały ten sam rezultat i Smyczkow zdecydował się zaczekać pod mostkiem do nocy.

– Znajdę ją! – szeptał zdejmując cylinder i targając włosy. – Choćbym rok miał szukać, znajdę!

Do dziś jeszcze chłopci, zamieszkujący wspomniane okolice, opowiadają, że po nocach przy mostku można spotkać nagiego, obrośniętego człowieka w cylindrze. Czasem zaś rozbrzmiewają spod mostka chrapliwe dźwięki kontrabas...

Przełożyła Maria Mongirdowa

IMPRESARIO POD KANAPĄ HISTORIA ZAKULISOWA

Grano właśnie *Wodewil z przebieraniem*. Młoda, urocza aktorka Kławdia Matwiejewna Dolska-Kauczukowa, całym sercem oddana świętej sztuce, wbiegła do swojej garderoby i szybko zaczęła zrzucać strój Cyganki, aby w mgnieniu oka przywdziać strój huzara. Pragnąc, by kostium leżał na niej możliwie gładko i pięknie, żeby nie było na nim najmniejszej zmarszczki, utalentowana artystka postanowiła zdjąć z siebie wszystko, do ostatniej nitki, i włożyć mundur bezpośrednio na strój Ewy. Właśnie w chwili kiedy Kławdia Matwiejewna rozebrała się i drżąc leciutko z zimna zabrała się do wygładzania huzarskich rajtuzów, dobiegło ją nagle czyjeś westchnienie. Artystka zdziwiła się i nadstawiła uszu. Znowu usłyszała westchnienie, a nawet jak gdyby szept:

– Ciężkie są nasze grzechy... Och–ch!...

Artystka rozejrzała się ze zdumieniem, a ponieważ w garderobie nie dostrzegła nic podejrzanego, postanowiła na wszelki wypadek zajrzeć pod jedyny znajdujący się tam mebel – pod kanapę. I cóż? Pod kanapą ujrzała wyciągniętą ludzką postać.

– Kto to? – zawołała odskakując z przerażeniem od kanapy i zasłaniając się huzarską kurtką.

– To ja... ja... – rozległ się spod kanapy drżący szept. – Proszę się nie bać, to ja... Tss!

W nosowym szepcie, przypominającym skwierczenie patelni, artystka bez trudu rozpoznała głos impresaria Indiukowa.

– To pan?! – zawołała z oburzeniem, czerwona jak piwonia. – Jak.. jak pan śmiał? To pan tu cały czas leżał, stary łajdaku? Tego tylko brakowało!

– Dziecinko... złotko moje! – syknął Indiukow wysuwając spod kanapy łysą głowę. – Nie gniewaj się, kochaneczko! Możesz mnie zabić, zdeptać jak gada, tylko nie rób krzyku! Nic nie widziałem, nie widzę i nie chcę widzieć! Niepotrzebnie się pani zasłania, złociutka, piękności ty moje. Niech pani wysłucha starca, który jedną nogą już jest w grobie! Jeżeli leżę tu pod kanapą, to tylko gwoli ocalenia! Ginę! Niech pani spojrzy: włosy stoją mi dęba! Prindin, mąż mojej Głaszeńki, przyjechał z Moskwy. Teraz chodzi po teatrze i dybie na moje życie. Zgroza! A przecież pomijając Głaszeńkę winien jestem temu łotrowi pięć tysięcy rubli.

– A co mnie to obchodzi? Wynoś się pan stąd natychmiast, bo jak nie, to... to sama nie wiem, co z panem zrobię, łajdaku jeden!

– Tsss! Słoneczko, tss! Błagam panią na klęczkach, czołgam się u stóp! Gdzież mogę się przed nim ukryć, jak nie u pani? Przecież on mnie wszędzie znajdzie, tylko tutaj wejść się nie odważy. Błagam panią! Zaklinam! Widziałem go dwie godziny temu. Stoję sobie za kulisami podczas pierwszego aktu, patrzę, a tu Prindin wchodzi z parteru na scenę.

– A więc pan tu leżał przez cały czas przedstawienia! – przeraziła się artystka. – I.. i wszystko pan widział?

Impresario rozplakał się.

– Drzę cały! Dygocę ze strachu! Królowo moja, dygocę! On mnie zabije, ten łotr przeklęty. Przecież już raz strzelał do mnie w Niżnim... Nawet w gazetach o tym pisali!

– No, nie... to już jest nie do zniesienia! Wynos się pan, muszę się już ubierać i wychodzić na scenę! Jeżeli pan się natychmiast nie wyniesie, to... to zacznę krzyczeć, będę głośno płakała... rzucę w pana lampą!

– Tsss! Ucieczko ty moja... desko ratunku! Dołożę pani pięćdziesiąt rubli, tylko proszę mnie nie wypędzać! Pięćdziesiąt rubli!

Artystka zasłoniła się stosem sukien i pobiegła ku drzwiom, żeby narobić krzyku. Indiukow przyczołgał się na kolanach i chwycił ją za nogę powyżej kostki.

– Dołożę pani siedemdziesiąt pięć rubli, tylko proszę mnie nie wyrzucać! – zacharczał łapiąc powietrze. – I jeszcze dodam połowę benefisu!

– Kłamie pan!

– Przysięgam! Niech mnie Bóg skarże! Bodajbym jutra nie doczekał... Połowa benefisu i siedemdziesiąt pięć rubli podwyżki!

Dolska–Kauczukowa zawahała się przez chwilę i zawróciła od drzwi.

– Przecież pan zwyczajnie łże! – powiedziała płaczącym głosem.

– Żebym się pod ziemię zapadł! Żebym z piekła nie wyrzwał! A czyż to ja jestem jakiś łobuz, czy co?

– A więc dobrze, niech pan pamięta... – zgodziła się artystka. – No, włącz pan pod kanapę.

Indiukow ciężko westchnął i sapiąc wgramolił się pod kanapę, a Dolska–Kauczukowa zaczęła się szybko ubierać. Było jej wstyd i nieprzyjemnie, że w garderobie pod kanapą leży obcy człowiek, ale świadomość, że ustąpiła tylko przez wzgląd na świętą sztukę pokrzepiła ją do tego stopnia, że kiedy po pewnym czasie zrzuciła huzarski mundur, już nie tylko się nie gniewała, ale nawet dała wyraz swemu współczuciu:

– Ale pan się tam ubrudzi, kochany Kuźmo Aleksieiczu! Ja tam wszystko wrzucam pod tę kanapę!

Przedstawienie skończyło się. Artystka była wywoływana jedenaście razy i otrzymała od publiczności bukiet ze wstęgą i napisem: „Zostań z nami!”

Kiedy po owacjach wracała do garderoby, spotkała za kulisami Indiukowa. Umorusany, potargany, w zmiętym ubraniu, impresario promieniał i zacierał ręce z radości.

– Cha, cha!... Niech pani sobie wyobrazi, złoteńko! – powiedział idąc ku niej. – Może się pani śmiać ze starego durnia! Proszę sobie wyobrazić, że to wcale nie był Prindin! Cha–cha... A niech go diabli, to ta długa ruda broda wprowadziła mnie w błąd... Prindin też ma długą rudą brodę... Omyliłem się, stary dureń! Cha, cha! Niepotrzebnie zakłóciłem pani spokój, śliczności ty moje...

– Ale niech pan pamięta, co mi pan obiecał – powiedziała Dolska–Kauczukowa.

– Pamiętam, pamiętam, słoneczko, tylko... aniołku, to przecież nie był Prindin. Myśmy się umówili tylko co do Prindina. A skoro to nie był Prindin, to z jakiej racji miałbym dotrzymać obietnicy? Gdyby to był Prindin, to, oczywiście, inna sprawa, a tymczasem, jak pani sama widzi, omyliłem się... Jakiegoś tam błazna wziąłem za Prindina!

– Ach, cóż to za podłość! – oburzyła się artystka. – To podłość! Ohyda!

– Gdyby to był Prindin, to, oczywiście, miałyby pani całkowite prawo żądać dotrzymania obietnicy, a to przecież licho wie, co za jeden. Może to jakiś szewc albo, za przeproszeniem, krawiec – i ja miałbym za niego płacić? Jestem uczciwy człowiek, łaskawa pani... Rozumiem się na tym...

Po czym odszedł, ale nadal nie przestawał gestykulować i powtarzać:

– Gdyby to był Prindin, to, oczywiście, byłbym obowiązany, ale to przecież jakiś nieznamy... jakiś tam, licho go wie, rudzielec, ale nie żaden Prindin.

Janina i Jan Brzechwowie

ZEMSTA

Było to w dniu benefisu naszej ingénue.

O godzinie dziesiątej rano przed jej drzwiami stał komik. Nasłuchiwał i wielkimi pięściami walił w obie połowy drzwi. Musiał koniecznie widzieć ingénue. Żeby nie wiem jak chciało jej się spać, musi wyleźć spod kołdry...

– Proszę otworzyć, do diabła! Czy długo jeszcze mam marznąć na tym wietrze? Gdyby pani wiedziała, że w tym korytarzu jest dwadzieścia stopni mrozu to nie kazałaby mi czekać tak długo! A może pani nie ma serca?

Piętnaście po dziesiątej komik usłyszał głębokie westchnienie. Po westchnieniu usłyszał skok z łóżka i człapanie pantofli.

– O co chodzi? Kto tam?

– To ja...

Komik nie musiał wymieniać swego nazwiska. Łatwo można go było poznać po głosie syczącym i świszczącym jak u chorego na dyfteryt.

– Proszę poczekać, zaraz się ubiorę...

Po kilku minutach wpuszczono go. Wszedł, ucałował rękę ingénue i usiadł na łóżku.

– Mam do pani interes – zaczął zapalając cygaro. – Jeśli przychodzę, to tylko w interesie, chodzenie na wizyty pozostawiam panom próżniakom. Ale do rzeczy... Gram dziś hrabiego w pani sztuce... Pani oczywiście o tym wie?

– Tak.

– Starego hrabiego. W drugim akcie zjawiam się na scenie w szlafroku. Mam nadzieję, że pani i o tym wie... Wie pani?

– Tak.

– Doskonale. Gdybym nie był w szlafroku, to zgrzeszyłbym przeciw prawdzie. A przecież na scenie, jak wszędzie, prawda ponad wszystko! Zresztą, po co to wszystko mówię, mademoiselle? Przecież w gruncie rzeczy jestem człowiekiem, a więc jestem stworzony po to tylko, aby dążyć do prawdy...

– Tak, to słuszne...

– A więc po tym wszystkim, co powiedziałem, pani widzi, że muszę mieć szlafrok! Cóż, kiedy nie mam szlafroka, który przystoi hrabiemu. Jeśli ukazę się publiczności w swym perkalowym szlafroku, to pani wiele straci. Na pani benefisie zaciążyłaby plama.

– Czy mogę panu pomóc?

– Tak. Pozostał pani po najdroższym piękny niebieski szlafrok z aksamitnym kołnierzem i czerwonymi chwastami. Wspaniały, piękny szlafrok!

Nasza ingénue spłonęła. Oczki jej zaczęły mrugać, zaczerwieniły się, zaiskrzyły jak szklane paciorki w słońcu.

– Pani pożycz mi ten szlafrok na dzisiejsze przedstawienie.

Ingénue zaczęła biegać z kąta w kąt. Jej nie uczesane włosy opadły w nieładzie na twarz i ramiona... poruszała wargami i palcami...

– Nie, nie mogę! – powiedziała.

– To dziwne... Hm... Można wiedzieć dlaczego?

– Dlaczego? Ach, mój Boże, to takie zrozumiałe! Czy mogę? Nie!... Nie!... Przenigdy! Postąpił ze mną nieładnie, nie miał racji... To prawda! Postąpił ze mną jak ostatni łajdak... Zgadzą się! Rzucił mnie tylko dlatego, że mam małą pensję i nie umiem naciągać mężczyzn! Chciał, żebym brała od nich pieniądze i te podłe pieniądze przynosiła jemu – chciał tego! To podłe, ohydne! Do takiego cynizmu zdolny jest tylko ostatni łajdak!

Ingénue opadła na fotel, na którym leżała świeżo uprasowana koszula, i ukryła twarz w dłoniach. Poprzez jej małe paluszki komik dostrzegł lśniące punkciki: to okno odbijało się w kroplach łez.

– Ograbił mnie! – ciągnęła dalej, pochlipując. – Mógł grabić, ale dlaczego mnie rzucił? Dlaczego? Co mi zrobiłam złego? Co ci zrobiłam? Co?

Komik wstał i podszedł do niej.

– Nie płaczmy – powiedział. – Łzy to słabość. A poza tym możemy znaleźć pociechę w każdej chwili... Proszę o tym pomyśleć!... Sztuka – to pocieszyciel najbardziej radykalny!

Lecz nic nie pomógł radykalny pocieszyciel.

Po chlupaniu przyszedł atak hysterii.

– To przejdzie! – rzekł komik. – Poczekam.

W oczekiwaniu, aż minie atak, spacerował po pokoju, ziewnął i położył się na łóżku. To łóżko, choć kobiece, nie jest tak miękkie jak łóżko, na którym sypiają ingénues porządnych teatrów. Jakaś sprężyna ukuła komika w bok, łysinę drapały pióra, których końce lekko wyzierały z poduszki poprzez różową powłoczkę. Brzegi łóżka były zimne jak lód. Ale bezczelnemu komikowi to nie przeszkadzało – przeciągnął się z lubością. Niech to diabli! Te babskie łóżka tak przyjemnie pachną!

Leżał tak i przeciągał się, a ramiona ingénue trzęsły się, z piersi ulatywały urywane jęki, palce zaciskały się i szarpały na piersi flanelowy kaftanik... Komik przypomniał jej najbardziej smutną kartkę jednego z najsmutniejszych romansów. Atak hysterii trwał z dziesięć minut. Ocknąwszy się, ingénue odrzuciła w tył włosy, powiodła dookoła wzrokiem i zaczęła znowu mówić.

– Kiedy dama z panem rozmawia, nie wypada leżeć na łóżku. Uprzejmość przede wszystkim.

Komik stęknął, podniósł się i usiadł.

– Postąpił ze mną nieuczciwie – ciągnęła – ale z tego nie wynika, że powinnam panu oddać szlafrok. Mimo że postąpił bardzo podle, jeszcze wciąż go kocham, a szlafrok jest jedyną rzeczą, która mi po nim została! Kiedy patrzę na ten szlafrok, myślę o nim i... płaczę...

– Nie mam nic przeciw tym ze wszech miar chwalebny ucuciom – rzekł komik. – Przeciwnie, w naszym realnym, diabelnie praktycznym stuleciu przyjemnie jest spotkać człowieka o takim sercu i takiej duszy. Oczywiście, że jeśli pani da mi szlafrok na jeden wieczór, to poniesie pani ofiarę. Ale niech pani pomyśli, jak to dobrze ponosić ofiary dla sztuki!

Pomyślawszy chwilę komik westchnął i dodał:

– Tym bardziej, że jutro go pani zwrócę...

– Za nic na świecie!

– Ale dlaczego? Przecież go nie zjem, zwrócę pani! Jaka pani jest, naprawdę...

– Nie, nie! Przenigdy!

Ingénue zaczęła biegać po pokoju, wymachiwać rękami.

– Przenigdy! Pan chce mnie pozbawić jedynej rzeczy, która jest mi droga! Prędzej umrę, aniżeli ją oddam! Jeszcze kocham tego człowieka!

– W zupełności doceniam, nie rozumiem tylko jednego, szanowna pani: jak pani może zamienić sztukę na szlafrok?... Pani – artystka!

– Przenigdy! Niech mi pan o tym nawet nie mówi!

Komik zaczerwienił się i podrapał w łysinę. Milczał przez chwilę, po czym spytał:

– Nie da pani?

– Za nic!

– Hm... Tak... To jest po koleżeńsku... Tak właśnie postępuje kolega!

Komik westchnął i ciągnął:

– Wielka szkoda, niech to diabli! Wielka szkoda, że jesteśmy kolegami tylko w słowach, a nie w czynach. Zresztą, niezgodność słów i czynów jest bardzo charakterystyczna dla naszych czasów. A co widzimy w literaturze! Wielka szkoda! Szczególnie nas, aktorów, gubi brak solidarności, prawdziwego koleżeństwa... Ach, jak to nam szkodzi! Zresztą, nie! To tylko wskazuje, że nie jesteśmy aktorami, nie jesteśmy artystami. Jesteśmy lokajami, nie artystami! Scena służy nam jedynie po to, żeby pokazywać publiczności gołe łokcie i ramiona... po to, by strzelać oczami... łechtać instynkty paradyżu... Nie da pani?

– Za żadne pieniądze!

– To ostatnie słowo?

– Tak...

– Doskonale...

Komik włożył czapkę, skłonił się ceremonialnie i wyszedł z pokoju ingénue. Czerwony jak rak, dygoczący z gniewu, ziejący przekleństwami, ruszył ulicą wprost do teatru. Szedł i stukał laską po obmarzniętym chodniku. Z jaką rozkoszą nadziałyby swych podłych kolegów na tę sękatą laskę! Ulżyłoby mu, gdyby mógł tą artystyczną laską przebić na wylot kulę ziemską! Gdyby był astronomem, potrafiłby dowieść, że jest to najpodlejsza z planet!

Teatr stoi na końcu ulicy, o trzysta metrów od więzienia. Pomalowany jest na kolor ceglasty. Farba zamazała wszystko i tylko ziejące szczeliny budynku wskazywały, że jest drewniany. Ongi teatr był spichrzem, w którym składano worki z mąką. Spichrz awansował na teatr nie ze względu na jakieś zasługi, ale dlatego, że był najwyższym spichrzem w mieście.

Komik wszedł do kasy. Tam przy brudnym stole lipowym siedział jego kolega i przyjaciel kasjer Stamm, Niemiec podający się za Anglika. Kasjer jest ślepowy, głupi i głuchy, ale wszystko to mu nie przeszkadza z należyłą uwagą wysłuchiwać kolegów.

Komik wszedł do kasy, zmarszczył brwi i stanął przed kasjerem w pozie boksera, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Milczał przez chwilę, po czym pokiwał głową i wykrzyknął:

– Jak pan nazwie tych ludzi, mister Stamm?!

Komik uderzył pięścią w stół i pełen oburzenia opadł na drewnianą ławkę. Nie potok, lecz ocean jadowitych, wściekłych słów wytrysnął z jego ust, okolonych od dawna już nie golonym zarostem. Niechaj okaże mu współczucie chociaż kasjer! Pannisko, sentymentalna płaksa, nie spełniła prośby tego, bez którego runęłaby ta paskudna buda! Nie okazać uprzejmości (nie mówię już o przysłudze) pierwszemu komikowi, którego przed dziesięciu laty zapraszano do teatrów stołecznych! Oburzające!

W tym biednym teatrze jest bardziej niż zimno. W psiej budzie na pewno nie jest zimniej. Stary kasjer mądrze robi, że siedzi w futrze i ciepłych kaloszach. Na oknie – lód, a po podłodze hula wiatr, którego mógłby pozazdrościć nawet biegun północny. Drzwi są nieszczelne i brzegi ich są białe od szronu. Do diabła! Za zimno nawet, by się złościć.

– Popamięta mnie! – zakończył komik swą filipikę.

Położył nogi na ławkę i przykrył je połą futra, które odziedziczył przed dwunastu laty w spadku po pewnym przyjacielu aktorze, zmarłym na suchoty. Wtulił się głębiej w futra, umilkł i pod kołnierzem chuchał na pierś.

Język milczał, lecz za to pracował mózg. Szukał jakiegoś wyjścia. Trzeba, żeby nie wiem co, zemścić się na tej zuchwałej, bezczelnej dziewczynie!

Komik nie zakrył futrem oczu, dał im swobodę: patrzcie, ile wam się podoba... Oczy przecież nie marzną. W kasie nie ma nic ciekawego dla oka. Stół przy drewnianej przegródce, przed stołem ławka, na ławce stary kasjer w psim futrze i filcowych butach. Wszystko jest

szare, codzienne, stare... Nawet brud jest stary. Na stole leży nie zaczęta książka biletowa. Kupujących jeszcze nie ma. Zaczną przychodzić w porze obiadowej. Oprócz stołu, ławki, biletów i kupy papierów w kącie – nie ma nic. Okropna nędza i okropna nuda!

Zresztą, przepraszam: jest w kasie jeden przedmiot luksusu. Przedmiot ten leży pod stołem wraz z niepotrzebnymi papierami, których się nie wymiata tylko dlatego, że jest zimno. Zresztą miotła gdzieś się zapodziała.

Pod stołem leży duży arkusz tektury, zakurzony i postrzępiony. Kasjer depcze go kaloszami, pluje na niego bez ceregieli. Ten właśnie arkusz jest przedmiotem luksusu. Wypisano na nim wielkimi literami: „Na dzisiejszy spektakl wszystkie bilety wyprzedane”. Przez cały czas swego istnienia ani razu nie miał okazji wisieć nad okienkiem kasy i nikt z publiczności nie może się szcycić tym, że go widział. Piękny napis, lecz złośliwy! Jaka szkoda, że nie znajduje zastosowania. Publiczność nie lubi go, ale za to wszyscy aktorzy są w nim zakochani!

Oczy komika błędzące po ścianach i podłodze nie mogły nie dostrzec tego klejnotu. Komik nie należy do tych, co szybko kombinują, ale tym razem skombinował. Dojrawszy tekturowy arkusz, stuknął się w czoło i zawołał:

– Świetnie! Mam pomysł!

Pochylił się i wyciągnął opowieść o wyprzedanych biletach.

– Świetne! Nadzwyczajne! To będzie ją kosztować drożej niż niebieski szlafrok z czerwonymi chwastami!

W dziesięć minut potem tekturowy arkusz wisiał nad okienkiem kasy po raz pierwszy i ostatni od czasu swego istnienia i... kłamał.

Kłamał, lecz uwierzono mu. Wieczorem nasza ingénue leżała w swym pokoju i szlochała na cały hotel.

– Nie lubi mnie publiczność! – mówiła zanosząc się od płaczu.

I tylko wiatr wziął na siebie trud współczucia. On, ten dobry wiatr, płakał w kominie i przewodach wentylacyjnych, płakał na różne tony i prawdopodobnie szczerze. Wieczorem zaś w piwiarni siedział komik i pił piwo. Pił piwo – i tyle.

Przełożyła Zofia Kaczorowska

JUBILEUSZ

W hotelu „Kars” odbywała się skromna uroczystość: brać aktorska podejmowała obiadem tragika Tigrowa, pragnąc uczcić dwadzieścia pięć lat jego pracy na niwie artystycznej. Przy długim stole zasiadał cały personel z wyjątkiem jednego tylko antrepenera – który był skąpcem i nie wziął udziału w składce, lecz obiecał, że przyjdzie pod koniec obiadu. „Wielce szanowny kolega”, jako winowajca uroczystości, siedział na pierwszym miejscu, w fotelu z wysokim i prostym oparciem. Był zaczerwieniony, spocony, chrząkał, pocił się i w ogóle czuł się bardzo nieswojo. Trudno osądzić, czy wzruszenie to spowodowało napływ uczuć jubileuszowych, czy też fakt, że jubilat zjawił się na obiad już „pod dobrą datą”. Z prawej strony siedziała *grande dame*¹⁹ Likanida Iwanowna Swiriejewa, „obiekt” antrepenera, z szylkretowym *lorgnon*²⁰ i obficie upudrowanym noskiem, z prawej – *ingénue* Sofia Dienisowna Unyłowa. Obok dam po obu stronach stołu siedzieli mężczyźni o wygolonych twarzach.

Przed zupą, gdy aktorzy wypili wódki i zakąsili, powstał rezoner Babelmandebski i rzekł:

– Panowie! Proponuję, abyśmy wychylili toast za zdrowie jubilata Wasiliska Afrikanycza Tigrowa! Hu–r–r–a!

Aktorzy huknęli: „Niech żyje!”, wstali z miejsc i ruszyli do jubilata. Tręcili się kieliszkami, potem długo ściskali się i całowali, a gdy wreszcie wrócili na miejsca, wstał *jeune-premier* Wiolański, człowiek pozbawiony talentu, lecz cieszący się sławą wykształconego aktora, dzięki temu tylko, że mówił przez nos, miał w swym pokoju hotelowym słownik *30 000 wyrazów obcych* i był mistrzem w wygłaszaniu długich przemówień.

– Szanowny kolego! – zaczął wznosząc oczy. – Dziś mija równo ćwierć wieku od chwili, kiedyś wstąpił na ciernistą drogę sztuki. Tak! Zdziwiony, z pewną obawą spoglądasz na przebyty szlak i widzisz, jak czoło twoje pokrywają zmarszczki... Tak, to był straszny szlak! W oddali połyskiwała twoja gwiazda... Spowity nieprzeniknionym mrokiem, namiętnie dążyłeś ku niej, a na drodze twojej leżały przepaście i rozpadliny pełne syczących żmij, amfibi i gadów.

Dalej mówca dodał, iż nikt nie ma tylu wrogów, co aktorzy. Rzucając w powietrze myśl po myśli wywiódł, że nawet przeciętny aktor, skromnie uprawiający niwę sztuki gdzieś na dalekiej prowincji, przynosi ludzkości znacznie większą korzyść, aniżeli Struwe budujący mosty lub Jabłockow rozmyślający o oświetleniu elektrycznym – można by jeszcze podyskutować, co pożyteczniejsze: teatr czy koleje? Zapalając się coraz bardziej, oświadczył, że gdyby nie było na ziemi sztuki, ziemia stałaby się pustynią, że świat gubi materializm i że obowiązkiem ludzi sztuki jest „rozpalać serca” czcicieli złotego cielca. Diabli wiedzą, czego tylko nie wygadywał, a zakończył tym, że pogroził pięścią gdzieś w kierunku okna, odrzucił swą serwetkę i orzekł, iż ocenić Tigrowa potrafi jedynie wdzięczna potomność.

Gdy zamilkł, aktorzy znów huknęli: „Niech żyje!” i z hałasem powstając z miejsc ruszyli do jubilata.

Wiolański ucałował Tigrowa trzykrotnie i w imieniu wszystkich kolegów ofiarował mu niewielki album pluszowy z wyhaftowanymi złotą nicią literami W. T.

¹⁹ *grande dame* (fr.) - tu, aktorka grająca role wielkich dam.

²⁰ *lorgnon* (fr.) - rodzaj okularów (lub lornetki) z rączką do trzymania.

Rozczulony tragik rozplakał się, uściskał wszystkich obecnych, potem w słodkim omdleniu opadł na fotel i drżącymi palcami jął przewracać kartki albumu. Album zawierał około dwadzieścia fotografii, lecz nie było tam żadnej jako tako wyglądającej ludzkiej fizjonomii. Były to nie twarze, tylko jakieś gęby z wykrzywionymi ustami, spłaszczonymi nosami i przymkniętymi lub wytrzeszczonymi oczami. Żaden krawat nie tkwił na miejscu, wszystkie gęby miały wyraz zdziczały, a głowa suflera Pudojedowa była obwiedziona podwójnym konturem, z których jeden nieudolnie zaretuszowano. (Sprawa polegała na tym, że aktorzy fotografowali się na św. Mikołaja, po złożeniu trzech wizyt imieninowych, a zdjęcia wykonał „fotograf Diergaczow z Warszawy”, maleńki, ślepowy człowieczek, trudniący się trzema rzemiosłami naraz: fotografowaniem, rwaniem zębów oraz pożyczaniem pieniędzy pod zastaw).

Przed pieczystym przemawiał prostak, aktor bez paszportu, podający się za Grigorija Borszczowa. Wyciągnął szyję, położył rękę na sercu i mówił:

– Posłuchaj Wasia... Najświętsze słowo honoru... Skarz mnie Bóg... Ty masz talent! Każdy ci powie, że masz... I ty byś, bracie, daleko zaszedł, gdyby nie ta oto sztuczka (tu mówca pstryknął palcem w gardło) i gdyby nie twój paskudny charakter... Licho wie, po co wścibiasz nos wszędzie, w każdą awanturę, kłótnię, pchasz się ze swoją uczciwością tam, gdzie nie trzeba... Daruj mi, bracie, ale ja tak... rzetelnie... jak Boga kocham! Taki już masz podły charakter, że żaden diabeł z tobą nie wytrzyma... Doprawdy! Przebacz mi, bracie, ja przecież ciebie kocham... i każdy ciebie kocha...

Borszczow nachylił się i ucałował jubilata w policzek.

– Wybacz mi, kochasiu – ciągnął dalej. – Masz talent! Masz! Tylko ty tego... Daj spokój z tym portwajnem. Po wódce ta lura – to śmierć!

Po przemówieniu Borszczowa zabrał głos sam jubilat. Z natchnioną, zapłakaną twarzą, mrugając oczami i szarpiąc chustkę do nosa, wstał i zaczął drżącym głosem:

– Kochani, drodzy przyjaciele! Pozwólcie mi w tym dniu radosnym wypowiedzieć przed wami wszystko, co nagromadziło się tu, w piersi, pod stropem mego gmachu duchowego... oto przed wami starzec osrebrzony siwizną, jedną nogą stojący w grobie... Ja... ja płacze... A zresztą, czym są łzy ludzkie? To tylko małoduszna psychiatria i nic poza tym! Głowa do góry, starcze! Precz ze łzami! Nie wolno popuszczać nerwom. Trzymajcie palec wzwyż wzniesiony! Przed wami, przyjaciele, stoi aktorzyna Tigrow, ten, który wstrząsał murami trzydziestu sześciu teatrów, ten, który wcielał się w postacie Belizariusza, Otella, Franciszka Moora! Trzydzieści sześć miast zna moje nazwisko! Tak!...

Tigrow sięgnął do bocznej kieszeni, wy dobył paczkę rachunków z hotelu i traktierni, i potrząsnął nią w powietrzu.

– Oto dowód! – krzyknął wznosząc dumnie głowę. – Rachunek moskiewskiego „Grand Hotelu”, rachunek charkowskiego „Bellevue”, penzeńskiego – Warencowa, taganrogskiego „Europejskiego”, saratowskiego „Stołecznego”, orenburskiego „Europejskiego”, tambowskiego „Grand Hotelu”, archangielskiej „Złotej Kotwicy”, i tak dalej! Tak! Trzydzieści sześć miast! I cóż? Nie było dnia w mym życiu, abym nie padał ofiarą podłej intrygi.

Taki przeskok w przemówieniu Tigrowa nie może wydać się dziwny: widocznie istnieje prawo przyrody, które sprawia, że aktor rosyjski, mówiąc nawet o pogodzie, musi wspomnieć o intrygach...

– Każdy, kto tylko mógł, zastawiał przede mną sieci złośliwości i obłudy! – mówił dalej tragik, tocząc gniewnym wzrokiem dokoła. – Wypowiem wszystko! Niech wam włosy staną dęba, niech krew zastygnie w żyłach, niech zadrżą mury, lecz niech zatryumfuje prawda! Nic mnie nie przeraża!

Lecz prawda nie zdążyła zatryumfować, bowiem drzwi do sali otworzyły się i wszedł antrepreneur Feniksow–Diamantow, wysoki, chudy, o twarzy emerytowanego strapczego²¹, z dużymi kłakami waty w uszach. Wszedł tak, jak wchodzi zazwyczaj wszyscy rosyjscy antrepreneurzy: drobnym kroczkiem, zacierając ręce i lekko oglądając się wstecz, jakby właśnie przed chwilą kradł kury lub dostał porządną burę od swej małżonki. Jak wszyscy antrepreneurzy wyglądał niczym człowiek zziębnięty i winny, mówił niemiłym, przypochlebnym tenorkiem i sprawiał wrażenie, że wiecznie się śpieszy, że coś gdzieś zapomniał.

– Witaj, Wasilisku Afrikanowiczu – zaczął pośpiesznie, zbliżając się do jubilata. – Wiesz cię, kochaneczku... Uf, alem się zmęczył! No, daj ci Boże, sam wiesz... Przecież znam cię, kiedyś jeszcze u Miłosłowskiego pracowałeś! Och, jakem się nabiegał.

Diamantow rozejrzył się płochliwie dokoła i zacierając ręce usiadł przy stole.

– Byłem przed chwilą u burmistrza – trzepał dalej, spoglądając podejrzliwie na talerze. – Zapraszał mnie na herbatę, ale odmówiłem... Po prostu umęczyłem się tym bieganiem! Wprawdzie do składki obiadowej, zdaje się, nie należałem, a jednak... wódki wypiję.

– Mów dalej, mów dalej! – zwracając się do jubilata wołali aktorzy.

Tigrow zasępił się jeszcze bardziej i przemówił:

– Jeżeli, moi państwo, komuś z was moje słowa się nie spodoba, ten niech wyjdzie, alem przywykł prawdę rżnąć w oczy i... i żadnego Belzebuba się nie ulęknę... Nikt nie śmie zabronić mi mówić... Tak... Co chcę... to mó... mówię... Jestem wolny!

– No, więc mów!

– I w ogóle chciałem wam powiedzieć, że w ostatnich latach sztuka sceniczna upa... upadła... A dlaczego? A dlatego, że trafiła do rąk... (tu tragik zrobił straszną minę, wykrzywił twarz i ciągnął świszczącym szeptem)... trafiła do rąk nikczemnych wyzyskiwaczy, godnych pogardy niewolników pogrążonych w groszorbstwie, oprawców sztuki, stworzonych po to, by pełznąć, a nie przewodzić w świątyni muz! Ta–ak!

– Czekaj, czekaj – przerwał mu Diamantow kładąc na talerz kawałek gęsi z kapustą. – Wcale nie tak! Masz rację, sztuka upada, ale dlaczego? Dlatego, że zmieniły się wymagania, poglądy! Teraz przyjęto wymagać od sceny życiowości. Mamuniu moja, po co na scenie życiowość? Niech przepadnie! Życiowość znajdziesz wszędzie: i w traktierni, i w domu, i na rynku, ale teatrowi daj ekspresję! Tu trzeba ekspresji!

– Po kiego licha ekspresja! Trzeba żeby było mniej szubrawców i łajdaków, a nie ekspresji! Czy diabeł w niej siedzi, w tej ekspresji, jeżeli aktorzy całymi miesiącami pensji nie otrzymują!

– Widzisz, jakiś ty! – westchnął antrepreneur robiąc płaczącą minę. – Zawsze starasz się coś uszczypliwego powiedzieć! I po co tu półsłówka, aluzje? Powiedziałbyś wprost, w oczy... Zresztą... nie mam czasu, wpadłem tu przecież tylko na chwilę. Muszę jeszcze biec do drukarni...

Diamantow zerwał się, podreptał przy stole, zerknął tęsknym okiem na gąskę i skłoniwszy się zebranym, ruszył drobnym kroczkiem do drzwi.

– A fotelik panowie z teatru wzięli? – dorzucił od drzwi i wskazał na fotel, na którym siedział jubilat. – Proszę nie zapomnieć odnieść, bo potem, jak się będzie grało *Hamleta*, to Klaudiusz nie będzie miał na czym siedzieć. Miłej zabawy!

Po jego wyjściu jubilat siedział nadęty.

– Tak porządni ludzie nie robią – burczał. – To niegodziwość z waszej strony... Czemuście mnie nie podtrzymali? Chciałem tego bydlaka zetrzeć na miazgę...

²¹ strapczy - za czasów Czechowa potocznie nazywano tak pośredników (adwokatów) w sprawach prywatnych.

* "Praga" - istniejąca do dzisiaj restauracja moskiewska w dzielnicy Arbat

Kiedy po deserze damy pożegnały się i odjechały, jubilat oklapł zupełnie i zaczął nieprzyzwyczajenie wymyślać. Butelki z winem były już puste, toteż aktorzy zaczęli znów od wódki. Ze wszystkich stron stołu posypały się anegdota, gdy zaś zasób ich się wyczerpał, zaczęło się rozpamiętywanie przeżyć. Wspomnienia są zazwyczaj najlepszą ozdobą zebrań aktorskich. Rosyjski aktor jest niezmiernie sympatyczny, kiedy jest szczerzy, i zamiast tego, aby pleść bałamutnie o intrygach, upadku sztuki, stronnictwa prawdy itp., opowiada o tym, co widział i słyszał... Czasami wystarczy posłuchać jakiegoś podupadłego, rozpitego aktorzynek-komika, wspominającego przeszłość, aby w wyobraźni ukazała się jedna z najbardziej pociągających, poetycznych zjaw – postać człowieka lekkomyślnego aż do grobowej deski, płochego, nieraz zepsutego, lecz niezmordowanego w swej włóczędce, wytrzymałego jak kamień, burzliwego, niespokojnego, pełnego wiary i zawsze nieszczęśliwego, a swą nieokiełznaną naturą, beztrąską, nieprzeciętnym trybem życia przypominającego legendarnych junaków... Wystarczy posłuchać wspomnień, aby wybaczyć opowiadającemu wszystkie jego zawinione i niezawinione występki, dać się porwać wspomnieniom, odczuć zazdrość...

Około dziesiątej uczestnicy uroczystości zaczęli płacić za obiad, po czym, oczywiście, nie obeszło się bez długich pertraktacji połączonych z wzywaniem gospodarza hotelu. Ponieważ na sen było jeszcze za wcześnie, z „Karsa” wszyscy aktorzy udali się do „Gruzji”, gdzie grali w bilard i pili piwo.

– Panowie, szampana! – rozpędził się jubilat. – Dziś pragnę pić szampana! Częstuje wszystkich!

Lecz wypić szampana się nie udało, bowiem w kieszeni tragika nie było ani grosza.

– Gr–isza! – bełkotał jubilat wychodząc z „Gruzji” z Borszczowem i Wiolańskim. – Warto by jeszcze do „Pragi” zajechać... Na spoczynek za wcześnie! Gdzie by tak pięć rubli dostać?

Aktorzy zatrzymali się i zaczęli rozmyślać.

– Wiesz co? – wpadł na pomysł Wiolański. – Zanieśmy do Diergaczowa album! Na licho on tobie! Jak Boga kocham! Da facet trzy ruble i basta!

Jubilat zgodził się i w kwadrans później trzej wędrowcy kołatali do bramy Diergaczowa.

Przełożyła Maria Mongirdowa

PO BENEFISIE OBRAZEK

Tragik Unyłow i „szlachetny ojciec” Tigrow siedzieli w pokoju nr 37 hotelu „Wenecja” i spożywali plony benefisu. Przed nimi na stole stała karafka wódki, kiepskie czerwone wino, pół butelki koniaku i sardynki. Tigrow, mały, tłusty, wągrowaty, kontemplacyjnie wpatrywał się w karafkę i zachowywał ponure milczenie. Unyłow zaś – płonął. Trzymając w jednej ręce plik asygnat, w drugiej ołówek, kręcił się na krześle jak na szpilkach i odsłaniał przed rozmówcą swą duszę.

– Maksymie – mówił. – To mnie pociesza i podnosi na duchu, że kocha mnie młodzież. Pensjonarki, gimnazjaliści – ledwie to–to od ziemi odrosło, ale nie w kij dmuchał, bracie! Siedzą, bestie, na paradyzie, diablo daleko, za trzydzieści kopiejek, ale słyszą tylko te brzdące. To są najlepsi krytycy i znawcy! Niejeden, nie większy od wróbla, mleko jeszcze pod nosem nie obeschło, a popatrz, człowieku, na mordkę – istny Dobrolubow. A jak wczoraj krzyczeli! U–ny–łow! U–nyłow! Tego, bracie, nie spodziewałem się. Wywoływali szesnaście razy! No i z „amposze”²² jest nie najgorzej: 123 ruble 30 kopiejek! Wypijmy!

– Ale ty, Wasieczka, tego... – wymamrotał Tigrow mrugając wstydliwie powiekami – daj mi dziś dwadzieścia talarów. Muszę skoczyć do Jelca. Zmarł tam mój wujek. Może coś po nim zostało. Jak nie dasz, to będę musiał drałować na piechotę. Dasz?

– Hm... Przecież ty nie oddasz, Maksymie!

– Nie oddam, Wasieczka... – westchnął „szlachetny ojciec”. – Skąd bym wziął? Musisz mi tak... z przyjaźni.

– Czekał, może mi nie starczy? Muszę zrobić trochę zakupów i coś niecoś zamówić. Policzmy wszystko.

Unyłow sięgnął po papier, w który był zawinięty koniak, i zaczął pisać ołówkiem:

– Tobie dwadzieścia, siostrze pošlę 25... biedna kobieta od trzech już lat prosi, żeby jej przysłać cokolwiek. Muszę pošłać! Jest taka miła, dobra. Sobie muszę sprawić nowe ubranie za jakieś 30 rubli. Za pokój i obiady jeszcze nie oddam, zdąży się. Ze trzy funty tytoniu... sztyblety. Co jeszcze? Wykupić frak... zegarek. Kupię ci nową czapkę, bo w tej podobny jesteś do diabła... Wstyd się pokazać z tobą na ulicy. Czekał, co jeszcze?

– Wasieczka, kup rewolwer do *Błędnych ogników*. Nasz nie strzela.

– Tak, to prawda. Ten podły impresario nigdy w życiu nie zdobędzie się na kupienie. Nie chce słuchać o rekwizytach, antychryst jeden. Więc ze sześć czy siedem rubli na rewolwer. Co jeszcze?

– Pójdź do łaźni i umyj się mydłem.

– Łaźnia, mydło i inne – rubel.

– Wasieczka, tutaj chodzi Tatar i sprzedaje świetnego wypchanego lisa. Może kupisz!

– Ale po co mi lis?

– Tak sobie. Postawić na stole. Rankiem, jak się obudzisz – spojrzysz, a tu zwierzak na stole... Zaraz ci na sercu będzie weselej!

²² *Amposze* (z fr. ‘emprocher) - dosłownie: wkładać do kieszeni, tu - dochód.

– Bajeczne! Ale już lepiej kupię nową papierośnicę. W ogóle, wiesz, trzeba by odnowić garderobę, kupić trochę koszul ze sztywnymi kołnierzykami. Sztywne kołnierzyki są teraz modne. Aha! Omal nie zapomniałem! Kamizelkę z piki!

– To koniecznie. W sztukach Kryłowa ani rusz bez kamizelki z piki. Sztyblety z guziczkami... laseczka. Pracze zapłacisz?

– Nie, jeszcze nie teraz. Muszę kupić rękawiczki białe, czarne i kolorowe. Co jeszcze? Sody i kwasku. Rycyny na dwa albo trzy razy... papieru, kopert. Co jeszcze?

Unyłow i Tigrow podnieśli oczy na sufit, zmarszczyli brwi i zaczęli myśleć.

– Proszek perski! – przypomniał sobie Unyłow. – Trudno wytrzymać z tymi czerwonoskórnikami. Co jeszcze? O rety! Palto! Zapomnieliśmy o najważniejszym, Maksymie! Jakżeż w zimie bez palta? Piszę 40. Ale... teraz nie wystarczy! Pluń, Maksymie, na swego wujka!

– Nie mogę. Jedyne krewniak i plunąć!? Na pewno zostało po nim coś niecoś.

– Co? Fajka piankowa, portret cioci? Jak Boga kocham, pluń!

– Nie rozumiem tego twego ego... egoi... egoistycyzmu, Wasia! – Tigrow zaczął mrugać powiekami. – Żeby tak ja miał pieniądze, czyżbym żałował? Sto, trzysta, tysiąc... bierz, ile chcesz! Po rodzicach zostało mi dziesięć tysięcy. Wszystko rozdałem aktorom!...

– Dobra, dobra! Bierz te swoje dwadzieścia!

– Merci. Wszystkie kieszenie podarte, nie ma gdzie schować. Ale już szósta dochodzi, czas na dworzec.

Tigrow wstał ociężale i zaczął wciągać na swe kuliste ciało przykrótkie i przyciasne palto.

– Nie mów, Wasieńka, naszym, że wyjechałem – powiedział. – Nasz podlec będzie się awanturować, jak się dowie, że wyjechałem nie uprzedziwszy. Niech myślą, że się zapilem. Mógłbyś mnie odprowadzić, Wasieczka, na dworzec, bo jeszcze złe mnie podkusi, po drodze wstąpię do traktierni i wszystkie twoje talary przepuszczę. Znasz moją słabość! Odprowadź, kochasiu!

– Dobra.

Aktorzy wstali, ubrali się i wyszli na ulicę.

– Co by tu kupić? – mruzczał Unyłow zatrzymując się po drodze przed wystawami magazynów i sklepów. – Spójrz, Maksymie, jaka piękna szynka! Gdyby na przedstawieniu był komplet, to jak Boga kocham, kupiłbym. A wiesz, dlaczego nie było kompletu? Bo u kupca Czudakowa było wesele. Cała plutokracja tam była. Także coś – zachciało się żenić nie w porę! Popatrz, jaki cylinder na wystawie! Może kupić? Zresztą, niech go diabli.

Przyszedszy na dworzec przyjaciele usiedli w poczekalni pierwszej klasy i zapalili cygara.

– Niech to diabli! – zmarszczył się Unyłow. – Pić mi się zachciało. Napijemy się piwa. Kelner, piwa! Nie było jeszcze pierwszego dzwonka, nie masz co się spieszyć. I pamiętaj, grubasie, żebyś tam nie siedział długo. Zedrzyj z umarłego wujka, co się da, i z powrotem. Ta-ak, pro... pana!... Nie trzeba piwa! Podaj butelkę „Nuit”! Napijemy się czerwonego... na pożegnanie i jedź sobie!

W pół godziny później aktorzy kończyli już drugą butelkę. Podparłszy pałającą głowę pięściami, Unyłow patrzył rozrzuwionym wzrokiem w tłustą twarz Tigrowa i mamrotał skołowaciałym językiem:

– Największe zło w naszym świecie to impre... pre... sario. Dopiero wtedy aktorzy staną mocno na nogach, kiedy będą w swej pracy powodować się zasadą zbiorowości.

– Masz na myśli udziały?

– Tak, udziały. Parr-szywe wino. Wiesz co, napijmy się reńskiego!

– Wasieczka, drugi dzwonek...

– Nakichaj. Pojedziesz nocnym pociągiem, a teraz ja ci... wytłumaczę. Proszę butelkę reńskiego! Impres... sario... widzi w aktorze rzecz... mię-so armatnie. Impresario to kułak. Nie rozumie artysty. Na przykład mówmy o tobie. Nie masz talentu, ale... jesteś dla teatru poży-

teczny. Trzeba cię cenić. Czekać, nie pchać się z całowaniem, nie wypada!... Za co cię lubię? Za twoją duszę... Za prawdziwie artystyczne serce. Maksymie, jutro zamawiam ci nowe ubranie! Wszystko dla ciebie. I nawet lisa. Niech uścisknę twą dłoń!

Minęła godzina. Artyści wciąż jeszcze siedzieli i rozprawiali.

– Niech tylko stanę na nogi – mówił Unyłow. – A zobaczysz... Pokażę wtedy, co to jest scena! U mnie będziesz otrzymywał dwieście miesięcznie... Żebym tylko na początek miał tysiąc rubli... wynajęłbym letni teatr... Może byśmy zjedli coś niecoś? Głodny jesteś? Powiedz szczerze... Prawda? Panie star... szy! Parzę pieczonych bekasów!

– O tej porze nie bywa bekasów – odpowiedział kelner.

– Niech to diabli, wy nigdy nic nie macie! No, to podaj, bałwanie... jaką macie dziczyznę? Wszystką podaj! Przywykli, psiekrwie, karmić kupców byle świństwem i myślą, że artysta będzie jeść to świństwo! Dawaj wszystko, co jest! Przyniesz likiery! Maksymie, chcesz cygara? Podaj cygara!

Po jakimś czasie do przyjaciół przysiadł się komik Dudkin.

– Także macie gdzie pić! – zdziwił się Dudkin. – Jedźmy do „Bellevue”. Tam są teraz wszyscy nasi...

– Płacić! – zawołał Unyłow.

– Trzydzieści sześć rubli dwadzieścia kopiejek...

– Masz tu... nie trzeba reszty! Jedźmy, Maksymie! Pluć na wuja! Niech biedny Yorick obywa się bez spadkobierców! Dawaj dwadzieścia rubli! Jutro pojedziesz!

W „Bellevue” przyjaciele zażądali ostryg i reńskiego.

– Buty ci kupię jutro – mówił Unyłow nalewając wino Tigrowowi. – Pij! Kto kocha sztukę, ten... Niech żyje sztuka!

I poszło! Sztuka, zasada zespołowości, udziały, jednomyślność, solidarność i inne ideały aktorskie... Wyjazd do Jelca, zakup herbaty, tytoniu i ubrania, wykupienie zastawionych rzeczy i opłaty jakoś się przesunęły na dalszą... bardzo daleką przyszłość. Rachunek w „Bellevue” zjadł cały dochód z benefisu.

Przełożyła Zofia Kaczorowska

KALCHAS

Komik Wasilij Wasiliewicz Swietłowidow, tęgi, krzepki, pięćdziesięcioletni starzec, obudzili się i ze zdziwieniem spojrzeli dokoła siebie. Po obydwu stronach stojącego przed nim niewielkiego lustra dopalały się dwie stearynowe świece. Nieruchome, leniwe płomyczki mętnie oświetlały niewielki pokój o malowanych drewnianych ścianach, pełen dymu tytoniowego i mroku. Dokoła widniały ślady niedawnego spotkania Bachusa z Melpomeną, spotkania tajemniczego, lecz burzliwego i potwornego jak występki. Na krzesłach i na podłodze poniewierały się surduty, spodnie, arkusze gazetowe, palto z kolorową podszewką, cylinder. Na stole panował dziwny chaotyczny nieporządek: tłoczyły się bezsensownie puste butelki, szklanki, trzy wieńce, pozłacana papierośnica, podstawka do szklanki, bilet loteryjny z zamocowanym różkiem, futerał ze złotą szpilką. Cała ta mieszanina była obficie obsypana niedopałkami, popiołem, drobnymi strzępkami podartego listu. Sam Swietłowidow siedział w fotelu w stroju Kalchasa²³.

„O, rety! Przecież jestem w garderobie! – powiedział komik rozglądając się. – A to ci chryja! Kiedyż to zdążyłem zasnąć?”

Zaczął nasłuchiwać. Cisza grobowa. Papierośnica i bilet loteryjny żywo przypomniły mu, że dziś jego benefis²⁴, że miał powodzenie, że podczas każdego antraktu razem ze swoimi wielbicielami, którzy szturmem zdobywali jego garderobę, pił dużo koniaku i czerwonego wina.

„Kiedyż to ja zasnąłem? – powtórzył. – Ach, stary pierniku, stary pierniku! Stary z ciebie kundel! Takeś się uchlał, żeś na siedząco zasnął. A to dobre!”

Zrobiło mu się wesoło. Wybuchnął pijackim śmiechem przechodzącym w kaszel, wziął jedną świecę i wyszedł z garderoby. Scena była pusta i ciemna. Z jej głębi, z boków i widowni wiał lekki, ale wyczuwalny wiaterek. Powiewy, jak duchy, swobodnie hulały po scenie, spychały się wzajemnie, krążyły, igrały z płomieniem świecy. Płomyk drżał, wyginał się we wszystkie strony i rzucał słabe światło to na szereg drzwi prowadzących do garderoby, to na czerwone kulisy, przy których stało wiadro, to na wielką ramę leżącą pośrodku sceny.

– Jegorka – krzyknął komik. – Jegorka, diable! Pietruszka! Usnęliście, do licha, bodaj was pokręciło. Jegorka!

– A... a... a...! – odpowiedziało echo.

Komik przypomniał sobie, że z racji benefisu Jegorka i Pietruszka dostali od niego po trzy ruble na wódkę. Bardzo wątpliwe, czy po takim datku zostali na noc w teatrze.

²³ w stroju Kalchasa - w stroju postaci z operetki Jakuba Offenbacha *Piękna Helena*, wystawianej w r. 1866 na scenach rosyjskich. Kalchas w mitologii greckiej był jednym z najsławniejszych wieszczków (kapłanów, wróżbitów), towarzyszył wojskom greckim w wyprawie na Troję. Homer umieścił go w *Iliadzie*. W operetce Offenbacha kapłan Kalchas to uwielbiający złoto gracz i łotrzyk.

²⁴ *benefis* (z fr.) - przedstawienie teatralne, zazwyczaj jubileuszowe, z którego część dochodu przeznaczano się dla jubilata.

Komik chrząknął, usiadł na taborecie i postawił świecę na podłodze. Głowę miał ciężką i zamroczoną, w całym ciele zaczęła się dopiero „przepalać” wypita masa piwa, wina i koniaku, po śnie w pozycji siedzącej osłabł i rozkleił się.

– Tak jakby cały szwadron nocował w gębie – warknął spluwając. – Et! Nie trzeba było, stary durniu, tyle pić. Nie należało... I w krzyżach łamie, i łeb trzeszczy, i febra trzęsie... Starość!

Spojrzał przed siebie... Ledwo mógł dojrzeć budkę suflera, łożo parterowe, pulpity orkiestry, natomiast cała widownia wyglądała jak czarna, bezdenna jama, ziejąca paszcza, z której wyzierał chłodny, surowy mrok... Zazwyczaj skromna, przytulna, teraz w nocy wydawała się bezgranicznie głęboka, opustoszała jak mogiła i bezduszna. Komik spojrzał w mrok, potem na świecę i dalej mamrotał:

– Tak, starość. Stawiaj się czy nie stawiaj, udawaj durnia czy nie, ale już pięćdziesiąt osiem lat – fiut! Życie kazało się kłaniać. Hm, tak Wasieńka... Pracowałem na scenie trzydzieści pięć lat, a teatr bodaj dopiero po raz pierwszy oglądam nocą. Zabawna heca, dalibóg! Tak, po raz pierwszy. Strach bierze, do licha... Jegorka! – krzyknął podnosząc się. – Jegorka!

– A... a... a... a... – odpowiedziało echo.

I jednocześnie z echem gdzieś daleko, jakby w samej głębi ziejącej paszczy, zadzwoniono na jutrznię. Kalchas przeżegnał się.

– Pietruszka! – krzyknął. – Gdzieście się podziali, u diabła? Panie Boże odpuść, po co ja wciąż złęgo ducha wspominam... Daj spokój! Przestań pić, stary już jesteś, zdechnąć ci pora. Pięćdziesiąt osiem lat... W tym wieku ludzie na jutrznię chodzą, do śmierci się szykują, a ty... O, Boże!

– Panie Boże, zmiłuj się, jakże straszno – mruknął. – Gdyby człowiek przesiedział tu całą noc, umarłby chyba ze strachu. To dopiero miejsce do wywoływania duchów.

Przy słowie: „duchów”, przeraził się jeszcze bardziej... Hulający wiaterek, migotanie świetlnych plam pobudzały i podniecały wyobraźnię w najwyższym stopniu. Komik nastroszył się, skulił i, sięgając po świecę, po raz ostatni z dziecinnym lękiem zerknął z ukosa w ciemną jamę widowni. Twarz jego zniekształcona szminką miała wyraz tępy i prawie bezmyślny.

Nie dosięgnąwszy świecy zerwał się nagle i wbił nieruchomy wzrok w ciemności. Dobre pół minuty stał milcząc, potem, ogarnięty niesamowitym strachem, schwycił się za głowę i zatupał nogami...

– Ktoś ty! – zawołał przeraźliwym głosem. – Ktoś ty?

W jednej z łoż parterowych stała biała ludzka postać. Kiedy światło padało w jej kierunku, można było odróżnić ręce, głowę i nawet białą brodę.

– Ktoś ty? – powtórzył dzikim głosem komik.

Biała postać przerzuciła nogę przez balustradę łoży, wskoczyła do orkiestry, potem bezszelestnie, jak cień, podeszła do rampy.

– To ja – odrzekła gramoląc się na scenę.

– Kto? – krzyknął Kalchas, cofając się gwałtownie.

– Ja, ja, Nikita Iwanycz... Sufler. Proszę się nie niepokoić.

Drżący i oszalały ze strachu komik opadł bezsilnie na taboret i zwiesił głowę.

– To ja – mówi podchodząc bliżej wysoki, żyłasty człowiek, łysy, o siwej brodzie, w samej bieliźnie i boso. – To ja, sufler.

– Boże mój! – wybełkotał komik przesuwając dłonią po czole i ciężko dysząc. – To ty, Nikituzka? Po coś tu przyszedł?

– Nocuję w tej łoży parterowej. Nie mam gdzie nocować. Proszę tylko nie mówić Aleksemu Fomiczowi.

– To ty, Nikituszka?... – bełkotał bezwładnymi wargami Kalchas wyciągając ku niemu drżącą rękę. – Boże mój, Boże! Wywoływali mnie szesnaście razy, ofiarowali trzy wieńce i mnóstwo rzeczy... Wszyscy byli zachwyceni, ale nikomu nie przyszło do głowy obudzić pijanego starca i odwieźć do domu. Stary jestem, Nikituszka. Mam pięćdziesiąt osiem lat. Chory jestem... Znużona moja słaba dusza...

Kalchas pochylał się ku suflerowi i drżąc na całym ciele schwytał go za rękę.

– Nie odchodź, Nikituszka – bełkotał jak w malignie. – Stary jestem, bezsilny, umierać mi pora... A strach...

– Panu, Wasilij Wasiliewicz, pora do domu – powiedział tkliwie Nikituszka.

– Nie pójdę. Nie mam domu! Nie, nie!

– Jezu Chryste! To pan już zapomniał, gdzie mieszka?

– Nie chcę tam iść, nie chcę... – mamrotał komik w zapamiętaniu. – Sam jestem... Tam nie ma nikogo, Nikituszka. Ani krewnych, ani żony, ani dzieci... Sam jeden, jak wiatr w polu. Umrę i nikt nawet nie wspomni...

Zdenerwowanie komika udzieliło się Nikituszce. Pijany, podniecony starzec szarpał go za rękę, kurczowo ścisnął i brudził szminką zmieszaną ze łzami. Nikituszka kulił się z zimna i wciągał głowę w ramiona.

– Strach mi samemu – bełkotał Kalchas. – Nikt mnie nie upieści, nie pocieszy, nie ułoży do łóżka, pijanego. Komu na mnie zależy? Komu jestem potrzebny? Kto mnie kocha? Nikt mnie nie kocha, Nikituszka.

– Publiczność pana kocha, Wasiliju Wasiliewiczu...

– Publiczność sobie poszła i śpi... Nie, nikomu nie jestem potrzebny, nikt mnie nie kocha... Ani żony, ani dzieci!

– Jest tu czego rozpaczać!

– Przecież ja także jestem człowiekiem. Szlachcicem jestem, Nikituszka, z dobrej rodziny... Pókim do tej jamy nie trafił, w wojsku służyłem, w artylerii. Zuch ze mnie był, piękny chłopak, gorący, śmiały... A potem – co za aktor – mój Boże, mój Boże! I gdzie się to wszystko podziało, gdzie te czasy?

Trzymając suflera za rękę, komik podniósł się i tak zamrugał oczami, jakby z ciemności nagle wszedł do jasno oświetlonego pokoju. Po policzkach, brużdżąc smugi w szmince, spływały duże łzy.

– Jakież to były czasy! – bredził dalej. – Spojrzałem dziś w tę jamę i wszystko sobie przypomniałem... Wszystko. Pożarła mi trzydzieści pięć lat życia i to jakiego życia, Nikituszka! Przyglądam mu się teraz i widzę do ostatniej kreseczki, jak twoją twarz. Pamiętam, kiedy byłem młodym aktorem, kiedy dopiero zacząłem się rozpalać, pokochała mnie jedna dziewczyna za moją grę... Wytworna, smukła jak topola, młoda, niewinna, rozumna, płomienna jak zorza poranna. Wierzyłem, że nawet gdyby nie było słońca na niebie, to na ziemi i tak byłaby jasność, gdyż wobec jej urody musiała ustąpić każda noc...

Kalchas mówił z zapalem, potrząsając głową i ręką. Przed nim, w samej bieliźnie, stał bosy Nikituszka i słuchał. Obydwo omotał zmierzch słabo rozrzedzony wąłym płomykiem świecy. Była to dziwna, niezwykła scena, jakiej nie znał jeszcze żaden teatr, a jej widzem była tylko bezduszna, czarna przepaść...

– Kochała mnie – ciągnął Kalchas sapiąc. – I cóż? Pamiętam, stoję przed nią, jak teraz przed tobą... Cudna była wówczas jak nigdy, patrzyła na mnie tak, że do grobu nie zapomnę wyrazu jej oczu... Pieszczota, aksamit, blask młodości, głębia. Upojony, szczęśliwy padam przed nią na kolana, proszę, by mi dała szczęście...

Komik odsapnął i zgnębionym głosem kontynuował:

– A ona na to: „Niech pan porzuci scenę!” – Rozumiesz? Mogła kochać aktora, ale zostać jego żoną – nigdy. Pamiętam, grałem tego dnia... Rola była marna, błazeńska... Grałem, a w

duszy syczały zmije... Sceny nie rzuciłem, nie, ale już wtedy otworzyły mi się oczy! Zrozumiałem, że jestem niewolnikiem, zabawką do rozpraszania czyjejś nudy, że nie ma żadnej świętości sztuki, że wszystko to brednie i kłamstwo. Zrozumiałem publiczność! Od tego czasu nie ufałem ani oklaskom, ani wieńcom, ani zachwytom. Tak, bracie! Oklaskują mnie, kupują za rubla moją fotografię, ale jednak jestem dla nich kimś obcym, czymś brudnym, nieomal kokotą. Gwoli ambicji szukają ze mną znajomości, ale nikt nie poniży się do tego, by wydać za mnie swoją siostrę czy córkę! Nie wierzę im, nienawidzę! Oni także są dla mnie obcy!

– Może czas do domu? – nieśmiało wtrącił sufler.

– Doskonale ich rozumiem – krzyknął Kalchas, wygrażając czarnej jamie pięściami. – Już wtedy zrozumiałem, za młodu przejrzałem i zobaczyłem prawdę... Drogo mnie to przebudzenie kosztowało, Nikituszka! Po tej historii... po tej pannie zacząłem objąć się bez sensu, żyć byle jak, nie patrząc w przyszłość... Grałem błaznów, dowcipkowałem, deprawowałem umysły... Spłyciłem i zniekształciłem swój język, zatraciłem podobieństwo ludzkie... Ech, pożarła mnie ta jama. Nie czułem tego dawniej, ale dziś... kiedy się obudziłem, spojrzałem wstecz, a poza mną – pięćdziesiąt osiem lat! Dopiero teraz zobaczyłem starość. Skończona piosenka!

Kalchas drżał i sapał... Kiedy po pewnym czasie Nikituszka zaprowadził go do garderoby i zaczął rozbierać, zupełnie oklapł i rozmiękł, ale nie przestawał mamrotać i płakać.

Przełożył Jerzy Brzęczkowski

ŚMIERĆ AKTORA

Szlachetny ojciec, prostak Szczypcow, wysoki, zwalisty starzec, sławny nie tyle z talentów aktorskich, ile z niezwykłej siły fizycznej, w czasie spektaklu pokłócił się na amen z antreprenierem i w punkcie kulminacyjnym kłótni poczuł nagle, jakby mu się coś w piersi oberwało. Antreprenier Żukow zazwyczaj w czasie każdej gorętszej sprzeczki dostawał histerycznego śmiechu i wpadał w omdlenie, ale tym razem Szczypcow nie chciał czekać na to zakończenie i pośpieszył do domu. Kłótnia i przykre wrażenie, że mu się w piersi coś oberwało, tak go zdenerwowały, że wychodząc z teatru zapomniał zmyć z twarzy szminkę – zerwał tylko brodę.

Po powrocie do numeru Szczypcow długo chodził z kąta w kąt, potem siadł na łóżku, podparł głowę pięściami i wpadł w zadumę. Nie poruszając się i nie wymówiwszy ani słowa przesiedział w ten sposób do drugiej godziny dnia następnego, kiedy do pokoju jego wszedł komik Sigajew.

– Czemuż to, Błaźnie Iwanowiczu, nie przyszedłeś na próbę? – rzucił się na niego komik, opanowując zadyszkę i napełniając pokój zapachem alkoholu. – Gdzie byłeś?

Szczypcow nic nie odpowiedział, tylko spojrzął na komika mętnymi, podmalowanymi oczyma.

– Choćbyś gębę se obmył! – ciągnął Sigajew. – Strach spojrzeć! Ululałeś się, a możeś chory czy co? Czemu milczysz? Pytam cię po ludzku: choryś?

Szczypcow milczał. I chociaż fizjonomię miał okropnie umorusaną, komik, przyjrzawszy się uważnie, nie mógł nie dostrzec straszliwej bladeści, potu i drżących warg. Ręce i nogi też drżały, a całe ciało olbrzyma wydawało się zmięte, oklapłe. Komik bystrym wzrokiem obrzucił numer, lecz nie dostrzegł ani sztofów, ani butelek, ani żadnych innych podejrzanych naczyń.

– Wiesz co, Miszutka, jesteś jednak chory! – zaniepokoił się. – Skarz mnie Bóg, jeśliś nie chory! Strasznie jesteś zmieniony.

Szczypcow milczał i ponuro wpatrywał się w podłogę.

– Na pewno przeziębził się! – ciągnął Sigajew biorąc chorego za rękę. – Patrzcie no, jakie gorące ręce! Co ci dolega?

– Do... do domu chcę – wymamrotał Szczypcow.

– A cóżeś to nie w domu?

– Nie... do Wiaźmy.

– Ehe, dokąd to się zachciewa! Do twojej Wiaźmy i za trzy lata nie dobrniesz... Cóż to, do tatula i mamuli się zachciało? Toć dawno już w proch się rozsypali i mogli ich nie odnajdziesz...

– Tam moja ojc... ojcowizna...

– No, nie ma co tu melancholię odstawiać. Ta psychopatia uczuć, bracie, to rzecz najgorsza... Zdrowiej prędeej, bo jutro musisz w *Księżciu Srebrnym* grać Mit'kę. Przecież tego, wiesz, że nie ma kto... Wypij coś gorącego i zażyj rycyny. Masz pieniądze na rycynę? Ale zaraz, ja sam polecę i kupię.

Komik pogmerał w kieszeniach, znalazł piętnaście kopiejek i podbiegł do apteki. Po kwadransie wrócił.

– Masz, pij! – rzekł podsuwając do ust szlachetnego ojca butelkę. – Pij wprost z flaszeczki.. Od razu! Tak... A teraz zagryź pachnącym goździkiem, żeby ci dusza od tych paskudztw nie prześmiardła.

Komik posiedział jeszcze chwilę u chorego, potem ucałował go czule i poszedł. Wieczorem wpadł do chorego jeune–premier Brama–Gliński. Utalentowany artysta był w prunelowych półbucikach, na lewej ręce miał rękawiczkę, palił cygaro i nawet roztaczał woń heliotropu, ale pomimo to mocno przypominał podróżnika zagubionego w kraju, w którym nie ma ani łaźni, ani praczek, ani krawców...

– Słyszałem, że zachorowałeś – zwrócił się do Szczypcowa, okręciwszy się na obcasie. – Co ci jest? Jak Boga kocham, co ci?

Szczypcow milczał i siedział bez ruchu.

– Dlaczego milczysz? Zamęt masz w głowie czy co? No, milcz, nie będę cię męczyć... milcz...

Brama–Gliński (tak go nazywają w teatrze – wedle paszportu to po prostu Guśkow) poszedł do okna, włożył ręce do kieszeni i wpatrzył się w ulicę. Przed oczyma jego ciągnęło się ogromne pustkowie ogrodzone szarym płotem, wzdłuż którego wybijał cały las zeszłorocznej rzepichy. Za pustkowieciem ciemniała jakaś opuszczona fabryka z zabitymi oknami. Nad kominem krążył spóźniony gawron. Cały ten nudny i smutny obraz zaczął już otulać wieczorny zmierzch.

– Muszę do domu – usłyszał jeune–premier.

– Dokąd do domu?

– Do Wiaźmy... na ojcowiznę...

– Do Wiaźmy, bracie, tysiąc pięćset wiorst... – westchnął Brama–Gliński bębniąc po szybie. – A po co do Wiaźmy?

– Tam chciałbym umrzeć...

– No, coś podobnego, też wymyślił! Umrzeć... Zachorował pierwszy raz w życiu i już sobie wyobraża, że to śmierć przyszła... Nie, bracie, takiego bawołu, jak ty, żadna cholera nie zmoże. Do stu lat będziesz żyć... Co cię boli?

– Nic nie boli, ale ja... czuję...

– Nic nie czujesz, a wszystko to od nadmiaru zdrowia. Siła cię rozpiera. Trzeba, żebyś sobie kropnął jak się patrzy, wypił, wiesz, tak, żebyś w całym ciele poczuł perturbacje. Pijaństwo znakomicie odświeża... Pamiętasz, jakieś w Rostowie nad Donem zalał sobie pałę? Boże, aż strach wspomnieć! Beczulkę wina ledwieśmy z Saszką przydźwigali, a tyś sam wypił, a potem jeszcze po rum posłałeś... zapileś się tak, żeś diabły do worka chwytał i gazową latarnię zważyłeś. Wtedy chodził jeszcze bić Greków.

Pod wpływem tych wspomnień twarz Szczypcowa nieco się przejaśniła, rozbłyły oczy.

– Czy pamiętasz, jakem antreprenera Sawojkina stłukł? – wymamrotał podnosząc głowę. – Co tu gadać! Bijałem w swym życiu trzydziestu trzech antreprenierów, a wszelkiej pomniejszej braci ani spamiętam. I jeszcze jakich antreprenierów bijałem! Nawet takich, co to i wiatrowi nie dali się tknąć! Dwóch znakomitych pisarzy pobitem, jednego artystę malarza!

– Dlaczego więc płaczesz?

– W Chersoniu koniam pięścią zabił. W Taganrogu napadły na mnie w nocy łobuzy, chyba z piętnastu. Pozdejmo wałem im czapki, a oni idą za mną i proszą: „Wujku, oddaj czapkę”. Tak to bywało.

– Czemuż więc, durna pało, płaczesz?

– A teraz koniec już... czuję. Żeby tak do Wiaźmy pojechać!

Nastąpiła przerwa. Po chwili milczenia Szczypcow zerwał się i chwycił za czapkę. Robił wrażenie człowieka całkiem roztrzęsionego.

- Żegnaj! Jadę do Wiaźmy – powiedział zataczając się.
- A pieniądze na drogę?
- Hm... Pójdę piechotą!
- Oszalałeś?!

Obaj spojrzeli po sobie, pewnie dlatego, że w obu głowach przemknęła ta sama myśl – bezkresne pola, nieprzejrzone lasy, bagna...

– Nie, bratku, jak widzę, zwariowałeś! – odrzekł jeune-premier. – Wiesz co... Przede wszystkim idź do łóżka, potem wypij koniaku z herbatą, żeby się wypocić. No i, rzecz jasna, rycyny. Chwileczkę, skąd by to wziąć koniaku?

Brama-Gliński pomyślał i postanowił pójść do kupcowej Cytrynnikowej spróbować, czy się nie uda z kredytem: a nuż baba zlituje się – da bez pieniędzy!

Jeune-premier wyszedł, a za półgodziny był już z powrotem z butelką koniaku i rycyną. Szczypcow tak samo siedział bez ruchu na łóżku i milczał wpatrując się w podłogę. Zalecaną rycynę wypił całkiem automatycznie, nieświadomie. Jak automat usiadł potem przy stole pijąc herbatę z koniakiem, machinalnie wypił całą butelkę i pozwolił, żeby kolega ułożył go do łóżka. Jeune-premier okrył go kołdrą i płaszczem, poradził wypocić się i poszedł.

Nadeszła noc. Szczypcow nie spał, chociaż wypił dużo koniaku. Leżał nieruchomo pod kołdrą, spoglądając na pociemniały sufit. Potem, dostrzegłszy zaglądnący w okno księżyc, przeniósł wzrok z sufitu na satelitę Ziemi i tak, z otwartymi oczyma, przeleżał do samego rana. Z rana, koło dziewiątej, przybiegł antreprener Żukow.

– Cóżże to, aniele mój, namyślił się chorować? – zagdakał marszcząc nos. – Aj, aj! Czyż to przy pana kompleksji godzi się chorować? Wstyd, doprawdy, wstyd! A ja, wie pan, przestraszyłem się! Czyżby, pomyślałem, podziałała tak na niego nasza rozmowa! Kochasiu drogi, myślę, że pan nie przeze mnie zachorował?! Przecież i pan mnie... A poza tym między kolegami trudno bez tego. Pan mnie przecież i wyłajał i.. z pięściami do mnie, a ja pana lubię! Jak Boga kocham, lubię! Szanuję i lubię! No, niechże mi pan wyjaśni, aniołku, za co pana tak lubię? Aniś mi brat, ani swat, ani też żona, a jakem się dowiedział, żeś nieco zasłabł – jakby mnie ktoś nożem w serce.

Żukow długo oświadczał się, potem zabrał się do całowania, wreszcie tak się rozczulił, że dostał napadu histerycznego śmiechu i próbował nawet zemdleć, ale połapał się pewnie, że jest nie w domu ani w teatrze, więc odłożył zemdlenie do bardziej sprzyjających okoliczności i odjechał.

Niedługo po jego wizycie zjawił się tragik Adabaszew, osobistość bezbarwna, nieco ślepa, mówiąca przez nos... Długo patrzył na Szczypcowa, długo namyślał się i nagle zrobił odkrycie:

– Wiesz co, Mifa? – zapytał wymawiając „f” zamiast „sz” i przybierając tajemniczy wyraz twarzy. – Wiesz co? Musisz wypić rycyny.

Szczypcow milczał. Milczał też w chwilę potem, kiedy tragik wlewał mu do ust obrzydliwy olej. W dwie godziny po zjawieniu się Adabaszewa wszedł do numeru teatralny fryzjer Jewłampij, czyli – jak go nie wiadomo dlaczego przezywali aktorzy: Rigoletto. Tak samo jak tragik długo przyglądał się Szczypcowowi, potem westchnął niczym lokomotywa i powoli zaczął rozwiązywać przyniesiony węzełek. Było w nim ze dwadzieścia baniek i kilka słoićków.

– Posłałby pan po mnie, a już dawno bym panu bańki postawił! – mówił czule, obnażając pierś Szczypcowa. – Nic łatwiejszego, jak zaniedbać chorobę!

Po czym Rigoletto pogładził dłonią szeroką pierś szlachetnego ojca i obstawił ją gęsto bańkami.

– Ta–ak... – wyrzekł pakując po tej operacji swe narzędzia splamione krwią Szczypcowa. – Przysłałby pan po mnie i ja bym przyszedł... O pieniądze nie trzeba się było martwić, ja tak z litości... Skąd pan weźmie, kiedy ten bałwan nie chce płacić! A teraz, kiedy łaska, niech pan przyjmie te krople. Smaczne krople! A teraz jeszcze, jeśli łaska, trza wypić oleju. Rycyna jak się patrzy! O tak! Na zdrowie! No, a teraz, żegnam...

Rigoletto zabrał swój węzełek i odszedł zadowolony, że pomógł bliźniemu.

Nazajutrz rano komik Sigajew, wpadłszy do Szczypcowa, zastał go w najokropniejszym stanie. Aktor leżał przykryty płaszczem, oddychał ciężko i błędnym wzrokiem wodził po suficie. Drżącymi rękami tłamsił zmiętą kołdrę.

– Do Wiaźmy! – wyszeptał na widok komika. – Do Wiaźmy!

– No, bracie, to już mi się całkiem nie podoba! – rozłożył ręce komik. – To... to... to już, bracie, całkiem niedobrze! Daruj, ale... to nawet głupio...

– Do Wiaźmy muszę! Na miłość boską, do Wiaźmy!

– No, nie spodziewałem się tego po tobie! – mamrotał całkiem zmieszany komik. – Licho wie co! Rozkleił się, nie wiadomo czemu! E... e... e... niedobrze! Taki drażał, chłop jak dąb, a płacze. Czyż to przystoi aktorowi płakać?

– Ani żony, ani dzieci – mamrotał Szczypcow. – Nie trzeba mi było iść na aktora, trzeba było zostać w Wiaźmie! Zmarnowałem życie, Siemionie! Och, żeby tak do Wiaźmy!

– E... e... e... niedobrze. I głupio... a nawet podle!

Uspokoiwszy się, opanowawszy zdenerwowanie, Sigajew zaczął pocieszać Szczypcowa okłamując go, że koledzy wspólnym kosztem postanowili go wysłać na Krym itd., ale Szczypcow nie słuchał, tylko wciąż mamrotał o Wiaźmie... Wreszcie komik machnął ręką i, żeby pocieszyć chorego, sam zaczął mówić o Wiaźmie.

– Piękne miasto! – pocieszał go. – Wspaniałe, bracie, miasto. Z pierników słynie! Pierniki klasyczne, ale – mówiąc między nami – nie bardzo... Cały tydzień mi po nich było tego... Ale, co najlepsze, bracie, w Wiaźmie – to kupcy. Ze świecą takich nie znajdziesz. Jak cię taki ugości, to już na całego!

Komik mówił, a Szczypcow milczał, słuchał i potakująco kiwał głową.

A nad wieczorem umarł.

Przełożyła Irena Bajkowska

ANTONI CZECHOW ZA KULISAMI TEATRU

Czechowa–dramaturga zna każdy, kto interesuje się teatrem, choć na dobrą sprawę jego dorobek w tej dziedzinie był ilościowo niewielki (sześć sztuk, kilka miniatur), a dramaturgią zajął się Czechow na serio dopiero w ostatnim okresie twórczości. Wcześniej powstawały przede wszystkim opowiadania i opowieści, a więc krótka proza, której był arcymistrzem. Przyniosła mu ona sławę, popularność i miejsce w kanonie lektur obowiązkowych, a jednak – mam wrażenie – Czechowa–prozaika znamy słabiej i bardziej powierzchownie niż dramaturga.

Dziewięć tomów „opowiadań i opowieści” wydanych w polskim przekładzie przez „Czytelnika” w latach 1956–1962 pod redakcją Natalii Modzelewskiej (w ramach XI–tomowej edycji „Dzieł”) to – cokolwiek by sądzić o polityce wydawniczej owych lat – dokonanie poważne i sumujące prawie wszystko, co Czechow w tej dziedzinie napisał. A jednak, gdy przegląda się późniejsze i siłą rzeczy znacznie bardziej popularne wydania opowiadań autora *Mewy*, przekonać się można łatwo, iż czechowski kanon ustalony został szybko i dość mechanicznie. Po części według gustu kolejnych tłumaczy i redaktorów, po części – zgodnie z zapotrzebowaniami ideologicznymi, gdyż spora część tej prozy doskonale nadaje się do ilustrowania tego czy owego, a krzywdy ludu przede wszystkim...

Stąd w kolejnych wyborach nadobecność tekstów rzeczywiście doskonale obrazujących stan Rosji ostatnich dziesięcioleci XIX wieku: państwa równocześnie wielkiego i zacofanego, religijnego i zbiurokratyzowanego ad absurdum, głęboko podzielonego społecznie, ale zaludnionego narodem żyjącym w zgodzie z własną, starą i wewnątrznie akceptowaną tradycją.

Ponawiana dziś lektura dziesiątków opowiadań Czechowa przypomina przeglądanie starego rodzinnego albumu pełnego przywołanych już fotografii: znajome rysy twarzy i fasady domów, jakaś etażerka, może coś w spojrzeniu nieżyjącej od trzech czwartych wieku ciotki... I przenikające wszystko przecucie bliskiego końca tego świata; wielkiej odmiany, która choć niecierpliwie wyczekiwana, nie musi być wcale odmianą na dobre. Obrazy znajome, choć obce, dręczące bliskością, ale jednak w całości należące do czasu przeszłego.

Dzieło Czechowa to również – choć może nie przede wszystkim – taki właśnie zbiór rodzinnych fotografii, z którego przez dziesięciolecia wydobywano i podsuwano nam pod oczy portrety dalekich przodków i kuzynów ze *Śmierci urzędnika*, *Kameleona*, *Skrzypiec Rotszylda*, *Sali nr 6*, *Spać się chce* czy *Kaprала Priszbiejewa*. Nie umniejszając ich wartości i znaczenia, warto może jednak przypomnieć, iż Czechow–prozaik to nie tylko realista czy wręcz naturalista, a również satyryk, mistrz sytuacyjnej groteski.

To oblicze pisarza było już przez lata w Polsce mniej znane, nawet jeśli chętnie grano teatralne miniatury czy przedrukowywano *Końskie nazwisko*, *Syrenę*, *Szczęście* czy monolog *O szkodliwości palenia tytoniu* (pewnym novum w tym względzie stał się wydany w 1994 roku przez Jerzego Pomianowskiego zbiór *Opowieści ucieszne*).

Tymczasem owe dziewięć tomów opowiadań i opowieści Czechowa to prawdziwa, niewyczerpana kopalnia tematów, pomysłów, obserwacji, obyczajowych obrazków i psychologicz-

nych portretów w większości kompletnie zapomnianych bądź nigdy dobrze u nas nie znanych. A przecież odpowiednio zestawione, pogrupowane, składają się te prozy na niemal kompletne studia czy monografie pewnych dziedzin życia, może nie tak precyzyjne, szczegółowe czy wręcz naukowe, jak sławny *Sachalin*, mające za to niezwykłą siłę wyrazu kreacji artystycznej.

Taką swoistą monografię próbowałem ułożyć *ex post*, zbierając w jednym tomiku te opowiadania Czechowa, które mają za temat teatr lub są poświęcone ludziom teatru. Okazało się, że jest ich (opowiadań) nadspodziewanie dużo, poczynając od tak znanych jak *Jubileusz* czy *Kalchas* (mający również swoją wersję sceniczną, jako *Łabędzi śpiew*), przez arcygroteskowe *Buty*, *Impresaria pod kanapą* czy *Romans z kontrabasem*, aż po niesłusznie zapomniane, wstrząsające studia psychologiczne jak wczesny *Baron*, *Chórzystka* i *Śmierć aktora*. Dominują pośród tych opowiadań portrety obyczajowe, rodzajowe i psychologiczne, co sygnalizują już same tytuły – obok wspomnianej *Chórzystki* czy *Barona* jest jeszcze *Komik*, *Tragik*, *Tapper*, *Pierwszy amant*, *Dramaturg*, *Krytyk*, *Mari d'elle* – niemal cała obsada całkiem sporej prowincjonalnej trupy. Bo też – co tu ukrywać – właśnie tego rodzaju towarzystwo opisuje Czechow i za kulisy takiego właśnie, prowincjonalnego co się zowie, teatru będziemy zaglądać.

Było to na przełomie stuleci miejsce fascynujące, choć zapewne trochę dziwne, a nawet nieco straszne. Przy ogromnej bowiem popularności teatru i sporej sile oddziaływania tej sztuki, pozycja wędrownego aktora w społeczeństwie dziewiętnastowiecznym była niska, by nie powiedzieć: dwuznaczna, choć stołeczni liderzy tego zawodu mogli równocześnie liczyć na hołdy i apanaże należne prawdziwym gwiazdom, którymi słusznie czy nie po części już wówczas byli. „Epoka gwiazd” nie trwała jednak dla wszystkich adeptów zawodu, a trupa wędrowna, prowincjonalna, prowadziła życie nędzne, często beznadziejne, które prawie się nie zmieniło na przestrzeni dobrych dwóch stuleci!

Najlepsza bodaj polska praca źródłowa – pamiętniki aktora Stanisława Krzesińskiego *Koleje życia czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych*, choć dokumentują okres nieco wcześniejszy, wprost uderzają licznymi podobieństwami kolei życia autora do losów bohaterów Czechowa. Wybitny historyk teatru i znawca epoki Stanisław Dąbrowski tak komentuje w roku 1957 zapiski Krzesińskiego:

Od schyłku XVIII w. do niedawna jeszcze w charakterze funkcjonowania trup objazdowych niewiele się zmieniło, tyle że od kilkudziesięciu lat jeździły one kolejami, a nie wozami, i że przestały grać przy świeczkach w szopach i zajazdach. (...) Większość aktorów i aktorek prowincjonalnych cechował brak wykształcenia, inteligencji, poczucia obowiązku i uczciwości. Wielu z nich rekrutowało się z niższych warstw społecznych, przeważnie nie przechodzili przez szkołę dramatyczną, z której by mogli wynieść przynajmniej ogólne wyobrażenie o własnej sztuce, niezbędny zasób wiadomości o świecie, literaturze itp.

Wszystko to, od generalistów, aż po wybite w tytule jednego z opowiadań buty znajdujemy również u Czechowa. Raz jeszcze Dąbrowski:

Aktor prowincjonalny, utrzymywany przy życiu mikroskopijnymi dawkami zaliczek, żył tylko nadzieją zastrzeżonego w kontrakcie benefisu, z którego dochód miał mu przynieść... buty, ubranie czy splatę długów.

Jak w opowiadaniach *Jubileusz*, *Po benefisie*, *Impresario pod kanapą* Czechowa, gdzie benefis (spektakl, z którego dochód otrzymywał aktor), czy nawet półbenefis jest przedmiotem marzeń i targów, a buty... Cóż, często były to dwa lewe *połatane buty z wykrzywionymi obcasami... Jakże Bóg dał, takie nosi (...)* bo i skąd aktor ma brać? – jak retorycznie pytał nędzny, zapijaczony Siemion – posługacz z pokojów umeblowanych, również przekonany, że stoi wyżej w społecznej hierarchii od wędrownych artystów, w związku z czym darzyć ich może pogardą (opowiadanie *Buty*). *Gdybym był gubernatorem albo jakimś naczelnikiem, zebrałbym wszystkich tych aktorów – i do więzienia* – bez żenady wyznaje Siemion.

Jaki był w takim razie stosunek do artystów przedstawicieli wyższych sfer? Niewątpliwie paradoksalny. Niską bowiem wartość miały spontanicznie składane hołdy, adresy okolicznościowe i benefisowe upominki, skoro nawet szanujący się kupiec nie oddałby za nic aktorowi córki za żonę (opowiadanie *Tragik*), a szlachcica, byłego oficera czy syna urzędnika „wstąpienie na scenę” degradowało społecznie do tego stopnia, że dla swojego dotychczasowego środowiska stawał się on umarłym za życia – opowiadania *Kalchas* czy *Śmierć aktora*.

A aktorki ? Dąbrowski pisze:

(...) większość rekrutowała się z młodych osób znęconych światłem rampy, w blasku której chciały najkorzystniej przehandlować swój wdzięk za skromną gażę i brzęczące hołdy zwabionych wielbicieli. Wiele z nich, o ile nie poślubiło kolegów, po paru sezonach zniknęło z teatru. Uroda, a nie talent, była pierwszym warunkiem dostania się na scenę. (...) stanowisko aktorki w społeczeństwie było inne niż aktora. Aktorzy przyjmowani w domach prywatnych, pijący czasem po knajpach z prowincjonalnymi osobistościami, stanowili pewną atrakcję towarzyską. Kobiety były, z racji ogólnej złej reputacji, przeważnie skazane na obcowanie wyłącznie z zespołem koleżeńskim. Zdarzały się miasta, gdzie cała trupa była odseparowana od społeczeństwa miejscowego, zbyt się szacującego, aby komediantów zaszczycać swym towarzystwem.

Cóż, gwoli ścisłości trzeba jednak powiedzieć, że nie wszyscy członkowie lokalnej socjety separowali się od aktorek. Wizyty za kulisami, w garderobach, bądź w „pokojach umeblowanych” – jak nazywano podrzędne hotele – były na porządku dziennym, podobnie jak traktowanie z założenia większości aktorek na równi z prostytutkami. Nie bez powodu Pasza, czechowska *Chórzystka* mówi w scenie konfrontacji z żoną kochanka:

– Cóż ja mogę zrobić, pani moja? (...) Pani mówi, że jestem lajdaczka i że zrujnowałam Nikolaja Pietrowicza, a (...) ja panią zapewniam, że z niego żadnych korzyści nie mam... W naszym chórze tylko Motia ma bogatego, co ją utrzymuje, a my wszystkie ledwo poradzimy, żeby mieć co do gęby włożyć. Nikolaj Pietrowicz wykształcony i delikatny pan, no to go przyjmowała. Nam nie wolno nie przyjmować.

Los aktora, a zwłaszcza aktorki to doświadczenie szczególne i jakże często również – skrajne. A przecież zespoły wędrownych trup nie cierpią na brak kandydatek, dla których „wstąpienie na scenę” jest jedyną dostępną formą ucieczki od monotonii i pustki dotychczasowego życia, i jedyną szansą na uzyskanie iluzorycznej samodzielności i niezależności w „służbie sztuki”.

Takich panien było przecież w tamtych czasach tak wiele. Panien, które marzyły o tym, by wyrwać się z zapadłego kąta, z ponurej powszedniości, znaleźć cel, któremu można by oddać się całkowicie, gorąco i czule poświęcić się j e m u, człowiekowi talentu, który je pobudził do marzeń. Dopóki prawa kobiet były u nas mocno ograniczone, w szkołach teatralnych pełno było takich prowincjonalnych panienek –

zaświadcza, komentując postać Niny Zariecznej z czechowowskiej *Mewy* Włodzimierz Niemierowicz–Danczenko. Ale takie same są w istocie marzenia i oczekiwania Janki Orłowskiej, czyli tytułowej *Komediantki* Władysława Stanisława Reymonta, czy bohaterki powieści *Państwo Gołowlewowie* Michaiła Sałtykowa–Szczedriny. Inna rzecz, w jakie barwy te marzenia przyoblekała rzeczywistość „artystycznej” kariery:

Przypomniały się jej przesiąknięte smrodem hotele, wieczny rozgardiasz rozlegający się w sali jadalnej i bilardowej, brudne i nie uczesane pokojówki, próby na ciemnej scenie wśród wymalowanych na płótnie dekoracji, których dotykała ze wstętem, wieczne przeciągi, wilgoć... i to wszystko! A dalej: oficerowie, adwokaci, cyniczne rozmowy, puste butelki, obrusy poplamione winem, obłoki dymu i rozgardiasz, ciągly rozgardiasz! Co oni tam wygadywali, jak cynicznie jej dotykali. (...) Nic więc dziwnego, że życie jej stało się czymś w rodzaju domu zajezdnego, do którego mógł pukać każdy, kto był młody, wesoły i posiadał odpowiednie środki materialne. (...) W gruncie rzeczy więc „święta sztuka” zaprowadziła ją do rynsztoka, lecz Anusia doznawała takiego zawrotu głowy, iż nie zdawała sobie z tego sprawy. (...) Nie zdawała sobie nawet sprawy, że stale znajduje się w towarzystwie samych prawie mężczyzn i że powstał jakiś mur między nią a kobietami mającymi w życiu stałą pozycję.

(*Państwo Gołowlewowie*, s. 218)

Taki tryb życia musiał te młode kobiety prowadzić do przedwczesnej i na ogół nędznej starości, a jakże często kończył się gwałtownie i dramatycznie. Samobójstwo popełnia zarówno Janka – *Komediantka* Reymonta, jak i druga bohaterka cytowanej powieści *Państwo Gołowlewowie* Sałtykowa–Szczedriny – Lubusia.

Zapewne najwybitniejszą i najciekawszą postacią tego rodzaju jest Nina Zarieczna czyli tytułowa *Mewa* Czechowa, ze sztuki późniejszej o dziesięciolecie od większości *Historii zakulisowych*. Nina co prawda nie ginie, ale poświęciwszy dla „sztuki” i złej miłości swoje rodzinne środowisko, pozycję społeczną i uczucie wartościowego człowieka, sama czuje się gorsza i napiętnowana, niezdolna do prawdziwego życia. Z fatalną determinacją brnie w otchłań, jaką okazała się „służba sztuce”, popychając – jakby mimochodem – do samobójstwa kochającego ją Trieplewa. Choć to może uproszczenie? W końcu Trieplew szamocze się psychicznie między d w i e m a kobietami. Ta druga, jego matka, zepsuta i egoistyczna Arkadina, to również aktorka, tyle, że – w przeciwieństwie do Niny – opromieniona sukcesem.

Oczywiście – gdzieś u kresu drogi w „służbie sztuce” mamił i przyciągał firmament prawdziwych „gwiazd”. Jednak nawet osiągnięcie pozycji gwiazdy nie zdejmowało z aktorki odium dwuznaczności; jej pozycja – jeśli nie społeczna, to na pewno „moralna” była przesądzona i zdeterminowana już w momencie „wstąpienia na scenę”, a często (jako iż był to zawód dziedziczny, rodzinny) jeszcze przed urodzeniem. Doświadczyła tego nawet największa gwiazda polskiego teatru Helena Modrzejewska, o której pisał Zbigniew Raszewski:

Własne nieślubne pochodzenie i nieślubne dzieci, dwuznaczna pozycja społeczna, banicja towarzyska – trudno o lepszy przykład sytuacji, w której można było dostąpić sławy i powodzenia, ale razem z utratą godności osobistej.

Choć w dojrzałych dramatach Czechowa tematyka teatralna pojawia się właściwie tylko raz – właśnie w *Mewie* – wszystko, o czym mówi przy okazji Niny Zariecznej, jest już zawarte wcześniej w opowiadaniach. Ich realizm, mimo całej swej skrótowości, jest jakby literacką ilustracją wywodów historyków teatru. I na odwrót... Kiedy czytamy wstrząsającą *Śmierć aktora* Czechowa, przypomina się kolejny fragment eseju Dąbrowskiego:

Życie tułacze wędrownych aktorów szarpiące nerwy niepokojem, egzystencja z dnia na dzień, w niepewności, postarzała wcześniej tak mężczyzn, jak i kobiety. Aktorów prowincjonalnych czekała przeważnie przykra starość; sterane zdrowie i praca w ciężkich warunkach załamywała często i wykańczała młodych stosunkowo ludzi. Osoby pochodzące z większych miast dostawały się przez starania do tamtejszych towarzystw opiekujących się starcami i kończyły żywot w przytułkach. Śmierć oczekiwała często aktorów po szpitalach, a potem – pogrzeb we wspólnym dole dla ubogich.

Nędza, najdotkliwsza materialna nędza była ich najwierniejszą towarzyszką życia. A druga – wódka, wszechobecna, lejąca się obficie przy lada okazji, lub bez, pita po to, by uczyć sukces albo zagłuszyć ból – wszystko jedno. „Baron” podbiera „urzędowy” spirytus i spija resztki szampana po bankietach, „Krytyk” nie potrafi się oprzeć *zniżce dla aktorów*, przepija się cały dochód z benefisu, okolicznościowe „amposze”, a nawet album otrzymany z okazji jubileuszu. Mijają miesiące i lata rauszu w atmosferze wiecznej beztroski i zabawy, a refleksja, że przepiło się i rozmieniło na drobne całe życie (*Kalchas, Śmierć aktora*) przychodzi jak zwykle za późno.

Bo przez te wszystkie lata zastępowała ją niezbędna w tym zawodzie nadzieja: na sukces, powodzenie u publiczności, sowite „amposze” po benefisie, wreszcie na niezależność finansową, która pozwoliłaby założyć własną antrepryzę – gdyż, oczywiście prawie każdy aktor (jak bohaterowie opowiadań *Krytyk, Po benefisie, Portfel*) uważał, iż to właśnie on najlepiej poprowadziłby przedsiębiorstwo, wymyślając oryginalny repertuar i znajdując nowe miasta godne odwiedzenia. Rzeczywistość wyglądała niestety zgoła inaczej. Dąbrowski:

Prawie wszędzie jednak zawodziła frekwencja. Dyrektor zrozpaczony wywieszał wtedy w mieście półtorałokciowy afisz o porywającym tytule i dziesięciu podtytułach poszczególnych obrazów atrakcyjnej i sensacyjnej „bomby” lub dawał na scenie najnowsze, głośne dzieło, ostatnią premierę warszawską, w nędznej obsadzie i lichej oprawie dekoracyjnej. Publiczność albo pozwalała się nabierać, albo broniła się przed naciąganiem.

Niebotyczne plany na przyszłość i szmira codzienności – to dwa bieguny „artystycznego” życia, którego nędza, miałość, a przede wszystkim – konkurencyjność, nie sprzyjały przyjaźni, lojalności, zawodowej solidarności. *Trzydzieści sześć miast! I cóż?* – powiada bohater *Jubileuszu* tragiczny Tigrow – *Nie było dnia w moim życiu, abym nie padał ofiarą podłej intrygi*. I zapewne nie było też w życiu prowincjonalnej trupy dnia bez jakiegoś spisku, a przynajmniej

podstępu – jak w *Zemście*, gdzie komik zrywa benefis swej koleżanki – ingénue, gdyż ta nie chciała mu pożyczyć... szlafroka.

Cały zespół szczególnie uważnie pilnował antreprenera (gdyż zdarzało mu się uciec z kasą), a antreprenier grabił swoją trupę, jak tylko mógł (opowiadanie *Impresario pod kanapą*). A przecież i tak dochodziło często do nieuniknionej ostateczności – bankructwa. Raz jeszcze Stanisław Dąbrowski:

W razie bankructwa i ustąpienia dyrektora, aktorzy organizowali towarzystwo działowe spółdzielczo grając na swój dochód. Gdy tylko udawało się dojść do jakiejś możliwej finansowej równowagi i zdobyć fundusz na podróż, rozjeżdżali się szukając nowych dyrekcji. Nigdy nie mieli zaufania do takiej koleżeńskiej imprezy, zaczynały się bowiem nieporozumienia, kome-raże, walki o prymat. (...) Pilnowano jednak skrupulatnie ściągania długów z aktorów. Czytamy w dawnych dziennikach, jak zespoły opuszczające miasto, z zarządzenia władz, trzykrotnie ogłaszały swój wyjazd, aby kredytorzy mieli czas odzyskać swe należności. (...) Gdy splajtowana trupa nie miała za co wyjechać z miasta, miejscowi amatorzy przychodzili czasem z pomocą, dając przedstawienie na ten cel.

Przypomnijmy – mowa tu o zespołach dziewiętnasto- a nawet dwudziestowiecznych, a przypomina się wiek XVI, kiedy to w Anglii wydano edykt głoszący, iż *szermierze, niedźwiednicy, aktorzy i minstrele* będą traktowani i karani jako *włóczędzy, wagabundzi i próżniacy*. Czy zresztą może to dziwić, skoro w krótkim, choć wstrząsającym czechowowskim *Portfelu* dochodzi do potrójnego morderstwa z powodu znalezionych pieniędzy, a wędrowny aktor Smirnow tak przekonuje kolegę do swoich planów:

Jeśli go naprawdę zabijemy, to on sam jeszcze nam podziękuję, kochasiu... A żeby mu nie było tak przykro, wydrukujemy w Moskwie w gazetach wzruszający nekrolog. To będzie po koleżeńsku.

Nic dziwnego, że *Portfel* kończy Czechow następującym „morałem”:

(...) kiedy aktorzy ze łzami w oczach mówią o swoich kochanych kolegach, o przyjaźni i wzajemnej „solidarności”, kiedy się ściskają i całują, nie wzruszaj się zbytnio, czytelniku.

Namalowałem powyżej (za Czechowem) dość czarny obraz środowiska aktorskiego. Czarny, ale być może przede wszystkim – smutny, a nawet beznadziejny. A przecież i w tym wędrownym, niepewnym losie bywały chwile triumfu, sukcesy, zwykłe ludzkie radości i satysfakcje. Często jedno z drugim wymieszane, przeplecione, sprzężone emocjonalnie tak dalece, że – nawet jeśli koniec jakże często bywał żaloszny – aktorski żywot mógł być zapewne (pomimo wszystko!) jakąś alternatywą dla „smuty” życia przeciętnych Rosjan klas średnich i wyższych ostatnich dziesięcioleci XIX wieku. (Nie mówiąc już, co oczywiste, o losie milionów chłopów).

To rzecz pierwsza. A druga: nasza ex post, przez Czechowa, czytana historia wędrownej trupy teatralnej prawie wcale nie mówi o tych przedstawicielach zawodu, którym jednak się powiodło. To historia nieudaczników, przeciętniaków, pechowców, uprawiających zawód, w którym prawdziwy sukces pisany jest tylko nielicznym i wybranym. Arystokraci, prawdziwi „baronowie” tej profesji Czechowa nie interesowali, tak jak – na dobrą sprawę – nie interesowali go w ogóle. Najciekawszy bohaterowie Czechowa to lekarze, prawnicy, prowincjonalni

urzędnicy, ubożający ziemianie, a więc, jak powiedzielibyśmy dzisiaj – inteligenci, a obok nich: skłębiony żywioł ludu Rosji przełomu XIX i XX wieku – chłopci, rzemieślnicy, mniejsi i więksi kupcy, oraz – na miejscu nieostatnim – artyści.

„Historie zakulisowe” są świadectwem wczesnych i głębokich zainteresowań Czechowa teatrem, starszych niż jego dramaturgia i związki osobiste, skądinąd zwieńczone małżeństwem z aktorką MChAT-u – Olgą Knipper.

Czechow kazał mi opowiadać sobie anegdoty z życia tak milej mu braci aktorskiej. (...) Zwykle siadywałem na parapecie okna, a Czechow w niszy na kanapce. Kiedy byłem w dobrym nastroju, opowiadałem mu wesołe historyjki, a kiedy bywałem ponury, mówiłem o rzeczach „ponurych” – o życiu aktorskim. Słuchał mnie bardzo uważnie i od czasu do czasu coś notował –

wspomina znany i popularny aktor – Paweł Orleniew, któremu również pisarz przy innej okazji wypomniął: *Przecież wy, aktorzy, jesteście jak małe dzieci. Innemu aktorowi często (...) doradzał, by pił tran i przestał palić.* Tych świadectw i anegdot jest wiele i wydają się ona świadczyć o czymś bardzo istotnym: autentycznym i głębokim związku wybitnego pisarza nie tylko z teatrem jako „świątynią sztuki”, miejscem prezentacji jego dzieł, ale przede wszystkim – z ludźmi teatru, specyficznym środowiskiem, które znał i rozumiał, któremu współczuł i które kochał.

„Historie zakulisowe”, w całym swym – jakże typowym dla losów tego środowiska – splątaniu wzniosłości z banałem, sukcesu z klęską, nadziei z rezygnacją, a wreszcie – rozpaczy z ozdrowieńczym śmiechem, są właśnie wyrazem tego zrozumienia, współczucia i miłości.

Władysław Zawistowski